



**JUBILEUSZ
WŁADYSŁAWA
RYMKIEWICZA**

Str. 8

**TAMTE
MAJE**

Str. 3 i 5

**"BYŁA
MŁODOŚĆ
Z PORYWAMI..."**

Str. 6



ODGŁOSY



ROK XVIII NR 18 (908)

1 MAJA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

1 MAJA

Trzydzieści lat minęło od pierwszego pochodu Święta Pracy w wyzwolonej Polsce. Trzydzieści lat minęło od dnia, kiedy po raz pierwszy po pięciu latach niewoli wyszliśmy ze sztafardami na ulice Łodzi.

W ciągu tego czasu wyrosło w Polsce nowe pokolenie nie znające wojny i wyzysku. Kraj dźwignął się ze zniszczeń wojennych, zbudowaliśmy nowoczesny przemysł powstały nowe miasta...

Maj jest dla nas miesiącem szczególnym, otwiera go pamięć na data 1 maja 1890 roku, kiedy to ludzie pracy wyszli po raz pierwszy w zorganizowanych pochodach na ulice europejskich miast. Wyszli, aby upomnieć się o swoje prawa.

Maj jest dla nas miesiącem szczególnym, jest to bowiem rocznica wyzwolenia i jest to miesiąc, w którym podpisano Układ Warszawski; stał się on dla Polski gwarancją pokoju i bezpieczeństwa, otworzył nowy etap w dziejach polskiej polityki zagranicznej, określając na nowych zasadach miejsce Polski wśród narodów świata.

Jest więc maj dla nas, Polaków, miesiącem ważnym — jest tradycyjnym świętem radości. W pochodzie idziemy wszyscy, bo jest to demonstracja naszej narodowej jedności. Demonstrujemy w imię naszego dorobku i naszych celów.

Naród nasz jest pracowity i ofiarny. Dał tego dowody w różnych okresach naszej dramatycznej historii. Dlatego też 1 Maja obchodzimy pod hasłami mobilizacji wszystkich sił twórczych. 1 Maja stał się świętem ogólnonarodowym.

Wszyscy bowiem pragniemy tego samego: aby nam było dobrze w naszej ojczyźnie, aby Polska kwitła i rozwijała się w interesie wszystkich ludzi pracy. Dlatego też powszechna winna być świadomość, że tylko dobrą pracą możemy jeszcze więcej osiągnąć, pomnożyć dorobek naszych 30 lat Ludowej Ojczyzny.

ŻYCIORYSY WSPÓŁCZESNE

ROBOTNICY

(SPASOWANIE WIEŻY Z NOGAMI)

Kamery latają po tych wspaniałościach technicznych, czujnym okiem obmacując każde urządzenie, wiatr szarpie flagami i nadyma transparenty, kwiaty i błysk nożyc w rękach dostojników, cała Polska patrzy, a o nich czasem ktoś coś wspomni albo i nie wspomni. On już o tym wie, wchodzi boczkiem, nieśmiało cupnie na lawce i zerka tak jakoś nie pewnie. Kask białutki jak mleko ściera w poczerwiałych rękach, cały jest czarny, łącznie z wysmarowanym kombinezonem, twarzą, oczami i tłustymi kędziorami na karku, bo taka już robota na M-34; rdza, opiłki i smary przeżrą skórę, wleżą za paznokcie, mydło za słabe i trzeba naftą rozpuszczać albo czymś innym.

Wzrusza ramionami, cudoż żadnych nie było i nie ma, zwyczajna robota. Wytrząsa sporty z paczki, zaciąga się, bo przy dymku źleś gadać. — W Sulejowie to jest wesoło w letniej porze, jak nasypie się wczasowiczów i innych takich, a na co dzień Cyganie rzną w knajpie na skrzypcach i to wszystko. Chciałem się stamtąd wyrwać na stałe, ale póki co, sześć razy w tygodniu wypa-

Dalszy ciąg na str. 5



KLASA ROBOTNICZA

PRÓBA SYNTEZY

Z profesorem dr STANISŁAWEM KALABIŃSKIM — rozmawia
Andrzej F. Grabski.



Ukazanie się pierwszego tomu zbiorowego dzieła, opatrzonego tytułem: „Polska klasa robotnicza. Zarys dziejów”, jest wydarzeniem bez precedensu w naszej marksistowskiej historiografii. Jest to pierwsza w nauce polskiej ambitna próba nowoczesnej wszechstronnej syntezy dziejów klasy społecznej, determinującej współczes-

ność naszego narodu. Jest to dzieło czyniące zadość postulatowi „aby zrozumienie miejsca klasy robotniczej w najnowszych dziejach społecznych i politycznych Polski stało się integralną częścią spojrzenia na polski proces historyczny w ostatnim stuleciu — aż po dzień dzisiejszy”.

Rozumiem, że sformułowanie to

wyznacza ogólny cel badań, których częściowe rezultaty przyniosą rozprawy, publikowane w tej serii, zaś całościowe znalazły się w syntezie. — Czy i o ile — zwracam się do prof. dr. Stanisława Kalabińskiego, inicjatora, redaktora i współautora syntezy dziejów polskiej klasy robotniczej — te ważne postulaty spełnia dzieło, którego pierwszą część otrzymaliśmy do ręki?

Dalszy ciąg na str. 4

CEL:

POPRAWA warunków pracy i życia

PO PLENUM KŁ PZPR

Jak zmienia się miasto? Czy jesteśmy zadowoleni z tempa przeobrażeń? Czy są one dostatecznie widoczne w codziennym życiu Łodzi? Często zadajemy sobie te pytania, przymierzając zamiary do sił. Chcielibyśmy, aby łódzkie przemiany były jeszcze bardziej intensywne, aby szybciej i sprawniej rosło nowoczesne miasto. Takie są nasze ambicje, bo dążymy do tego, aby miasto było ładne i aby coraz lepiej się w nim żyło.

Statystycy mają dla nas gotową odpowiedź: przemiany są intensywne, a wyrażają to fakty. Oto one: przeszło połowa łódzian mieszka już w nowych domach, 88,2 proc. łódzian korzysta z sieci wodociągowej, 83,3 proc. — z sieci kanalizacyjnej, 70,7 proc. — z sieci gazowej. Jeśli w 1970 roku na jedną izbę w Łodzi przypadało 1,29 statystycznej osoby, to obecnie już 1,15 przy czym znacznie powiększa się powierzchnia użytkowa mieszkań.

Radykalnej przebudowie podlega przemysł Łodzi, wychodząc z zaoferowania. A wszystkie te przedsięwzięcia podejmują się z myślą o ludziach, o ich potrzebach i o tym, aby nam się lepiej żyło i pracowało. Tym też sprawom swoją uwagę poświęcił KOMITET ŁÓDZKI PZPR na swoim ostatnim posiedzeniu. Tematem obrad były warunki pracy i życia łódzian i łódzka instancja partyjna przyjęła uchwałę, określającą kierunki dalszego działania na najbliższe lata: 1975 — 1980.

GEOGRAFIA MIASTA

Przenoszenie przemysłu do dzielnic specjalnie na ten cel przeznaczonych jest działaniem ze wszech miar pożytecznym i celowym, ale z propagandowego punktu widzenia sprawiającym sporo kłopotu. Dla tych, którzy nie mają znajomości na Teofilowie, albo na Dąbrowie, albo w okolicy Nowych Sądów, którzy tam nie pracują, nie jeżdżą na spacer — nowe fabryki, jakże inne od tych, które budowa-

no dawniej, uchodzą uwagi, a ich nazwy powtarzane w przemówieniach i na łamach gazet są tylko niepełnymi pojęciami czegoś nowego, czego fragmenty można obejrzeć w telewizji.

Jeszcze w 1970 roku stopień zużycia majątku trwałego w przemyśle Łodzi wynosił 44,9 proc. i w niektórych dziedzinach przewyższał połowę wartości. Na przykład w przemyśle włókienniczym — 58,6 proc., skórzanym — 61,7 proc., odzieżowym — 54,7 proc., poligraficznym — 52,3 proc. Dziś ten stosunek uległ poważnym zmianom i to właśnie dzięki nowym fabrykom, wybudowanym w ostatnich latach.

Najważniejsze z nich są: — Wybudowane na Nowych Sądach Zakłady Przemysłu Dzierżewskiego „Olimpia” (dawniej „Kalinia”) oraz Przedsiębiorstwo Automatyki i Urządzeń Przemysłowych „Uniprot”.

— Na Teofilowie przemysłowym Zakłady Tekstylno-Konfektoryjne „Teofilów”, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego — Wędliniarnia „Teofilów”.

— Na przemysłowej Dąbrowie Przedsiębiorstwo Czesankowa „Polanil”, Zakłady Przemysłu Dzierżewskiego „Bistona”, Fabryka Dywanów „Dywilan”.

Oczywiście są to tylko te najważniejsze, gdyż wybudowano w Łodzi i buduje się znacznie więcej. Te fabryki wymienione i te nie wymienione zmieniają gospodarczą geografie miasta. Podnoszą jego walory gospodarcze na mapie kraju, zaczynają

decydować o łódzkim potencjale produkcyjnym, którym interesuje się nie tylko kraj, ale i kupcy zagraniczni.

Fabryki te jednakże, zmieniając gospodarczą geografie miasta i podnosząc jego rangę na mapie kraju, przynoszą z sobą radykalną zmianę warunków pracy. I to warto podkreślić ze szczególnym naciskiem. Odcodzi bowiem w przeszłości łódzki przemysł z zapyłonymi maszynami, starymi, bo pamiętajmy, że to właśnie wtedy, w czasie wojny światowej, odchodził ciemne hale fabryczne, duszne i brudne.

ZNACZNA POPRAWA

„następuje też w fabrykach, dla których nie buduje się nowych pomieszczeń w dzielnicach przemysłowych, ale które podaje się — przynajmniej przez najbliższe lata — procesom modernizacji. Takie zabiegi przeprowadza się między innymi w Łódzkich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju, Włodzimierzskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego i Maja, Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego, Zakładach Przemysłu Pasmanteryjnego „Lentia”, w „Anilanie”, „Majedzie”.

Fabryki, które muszą czekać w kolejce na ich odtworzenie w innym miejscu i innych warunkach, a co dla załóg tych fabryk oznacza dopiero radykalną poprawę warunków pracy, nie czekają bezczynnie, realizując te wszystkie zamierzenia i usprawnienia, które przyczyniają się do poprawienia warunków pracy już obecnie. Tak dzieje się między innymi w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. F. Dzierżyńskiego, Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Sz. Harnas, czy w „Skogarze”.

Jest to oczywiście działanie dobrane, ale w wielu przypadkach skuteczne. Nie może ono jednak zniwelować ogromnych różnic, jakie występują teraz między nowymi fabrykami, wybudowa-

nymi według nowoczesnych zasad, wyposażonych w najnowsze maszyny, które dają nie tylko dobrą produkcję, ale nie stwarzają człowiekowi tylu zagrożeń, jakie stwarzały stare maszyny.

Na ten moment zwraca się szczególną uwagę w uchwale KŁ PZPR, podjętej na ostatnim plenarnym posiedzeniu:

„Komitet Łódzki stwierdza, że realizowane dotychczas kierunki działania należy kontynuować i rozwijać; nie wszystkie jeszcze bowiem problemy z dziedzin warunków życia i pracy zostały w pełni rozwiązane, nie wszystkie nawarstwione zagrożenia były możliwe do odrobienia w ciągu bieżącej pięcioletki, a niektóre z nich na tle istniejących już nowoczesnych rozwiązań, zarysowują się szczególnie ostro”.

PROGRAM

„budownictwa przemysłowego na lata 1976 — 1980 zakłada między innymi wybudowanie wielkiego kombinatu przemysłu bawełnianego, przez co radykalnie rozwiąże się warunki pracy załóg z zakładów przemysłu bawełnianego: im. F. Dzierżyńskiego, im. St. Dubois, im. gen. Wł. Teresa. Nowe pomieszczenia otrzymają Zakłady Przemysłu Włókiennego im. Andrzeja Struga i Zjednoczone Zakłady Przemysłu Włókiennego, a także „Wółczanka”, „Skogar”, „Próchnik”, „Feniks” i inne.

Program ten jednak nie rozwiąże automatycznie wszystkich problemów. Budowa nowych zakładów — a przez pięć lat nie można wybudować nowoczesnych fabryk dla wszystkich — będzie jednym przynosiła zmianę warunków pracy, innym uwiaryściła różnicę między nowoczesnością a starym. Dlatego trzeba nadal podejmować intensywne działania tam, gdzie to jest możliwe i potrzebne, aby poprawić w dalszym ciągu wa-

runki pracy, pomniejszając tym różnicę między pracą w starych fabrykach i nowych.

Do rozwiązania jest wiele problemów. I to nie tylko w przemyśle, ale również w budownictwie, przemyśle terenowym, spółdzielczości pracy. Właśnie w przemyśle terenowym i spółdzielczości pracy dysproporcje między nowoczesnymi rozwiązaniami a prymitywizmem występują nader ostro i wyraźnie. Dotyczy to również zakładów zajmujących się działalnością usługową. Zakłady te będą znajdowały się pod wzrastającym ciśnieniem społecznego zapotrzebowania na usługi i jeśli nie będą możliwe szybko inwestowały, to ludzie będą tam pracowali w coraz trudniejszych warunkach.

Łódzka instancja partyjna — analizując potrzeby i możliwości poprawienia warunków pracy — zwróciła uwagę na konieczność kompleksowego podejścia i szukania rozwiązań w dziedzinie klimatyzacji i wentylacji, transportu wewnętrznego, walki z hałasem. W Łodzi pracuje „Uniprot” — specjalistyczne przedsiębiorstwo przemysłu lekkiego, powołane do konstruowania i budowania urządzeń klimatyzacyjnych. Przedsiębiorstwo to powinno szukać coraz to bardziej nowoczesnych rozwiązań, gdyż proponowane do tej pory nie dają się zastosować w każdej fabryce. Trzeba dążyć do miniaturyzacji i standaryzacji urządzeń produkowanych w „Uniprocie”.

Budowa w Zgierzach Zakładu Urządzeń Transportowych powinna przyczynić się do poprawy sytuacji w transporcie wewnętrznym, gdyż do tej pory w wielu fabrykach używa się ręcznych wózków. Jednakże problem transportu wewnętrznego powinien być dla nowych fabryk rozwiązany już na deskach kreślarskich projektantów. Podobnie — jak i walka z hałasem.

Hałas jest szczególnie uciążliwy w przemyśle włókienniczym,

powodując — między innymi — uszkodzenia narządów słuchu. Stosowane do tej pory środki: wata i nauszники — okazały się nawet nie półśrodkiem. A więc i tu rozwiązania można znaleźć tylko na deskach kreślarskich projektantów i to zarówno fabryk, jak i maszyn włókienniczych.

NA POPRAWĘ WARUNKÓW

„pracy i życia łódzian trzeba patrzeć kompleksowo. Dokonuje się jej nie tylko w fabryce poprzez zmianę technologii i technologii wytwarzania, instalowanie nowoczesniejszych maszyn i urządzeń, poprzez budowanie stołówek, ośrodków wypoczynkowych, urządzanie przyzwolnie wyposażonych szatni, walkę z hałasem, bałaganem. Poprawę warunków pracy uzyskuje się również poprzez lepsze przystosowanie urządzeń miejskich do potrzeb mieszkańców. Nie darmo KOMITET ŁÓDZKI PZPR w swojej uchwale z ostatniego plenarnego posiedzenia zwraca uwagę na konieczność przyspieszenia budowy ośrodków wypoczynku niedzielnych i świątecznych, szczególnie na Zdrowiu, w Smardzewicach i na Zalewie Sulejowskim oraz na jednoczesne budowanie domów mieszkalnych i otaczających ich pawilonów handlowych, usługowych, żłobków i przedszkoli.

Człowiek musi bowiem nie tylko pracować w nowoczesnych, dobrych warunkach, ale tak samo wypoczywać. I taki jest sens najogólniejszy przyjętych kierunków działania, które realizowane mają doprowadzić do tego, że będzie się nam lepiej pracowało i żyło i że dysproporcje dziś jeszcze występujące między nowym a starym będą się systematycznie pomniejszały.

MARCIN RODAK



25 LAT

deracji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej.

Popularność swą zawdzięcza „Sztandar Młodych” m. in. ciekawym informacjom, publicystyce, trafiającej w aktualne zainteresowania szerokich kręgów młodych odbiorców, interesujących przygotowanym rubrykom. A także — akcją. Cel każdej: dla młodych, o młodych, z młodymi.

W wersji „Sztandarowej” miało się nazywać najpierw (lata pięćdziesiąte) Ośrodek Ubożych Kochanków. Gazeta zaproponowała wtedy — ni mniej ni więcej — tylko... patronat nad budownictwem mieszkaniowym, a konkretnie pracę młodych przy budowanym osiedlu. Patronat i odpracowanie przyszło wprawdzie dużo później, ale stoi dziś w Warszawie „pomnik” tej „Sztandarowej” akcji czyli „Osiedle Młodych” i istnieje Warszawska Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Osiedle Młodych”. Także w Łodzi jest taka spółdzielnia, także w Łodzi było kiedyś Osiedle Ubożych Kochanków.

A stała rubryka? Zaczęło się od makiet „My—66”, a mamy

już „My—75”, rubrykę cieszącą się nie mniejszym powodzeniem, w której młodzi piszą o postawach, przedstawiają i wymieniają poglądy na temat różnych życiowych spraw. Niezmiennym powodzeniem od lat cieszy się rubryka „Karolina prosi o radę”, w której wszyscy ze zlanym sercem lub niepewni jak w pewnych okolicznościach postąpić należy, znajdują rady specjalistów. Niektóre rubryki pozmięniały nazwy: była „Muzyka niepoważna” jest „Metronom”. Niektóre rubryki znikły, pojawiły się nowe. Nie dlatego, że przestały się podobać redakcji. Rzecz w tym, że przez cały czas gazeta wraz z redakcją redagują czytelnicy.

Ale czytelnicy są nie tylko twórcami nowych rubryk. Był niegdyś RDA czyli Ruch Dziennikarzy Amatorów, w którym młodzi ludzie różnych profesji próbowali swoich sił na dziennikarskiej niwie. (Dziś kilku jest dziennikarzami). Teraz czytelnicy nadysłali listy na konkurs „To warto opisać” podsuwają redakcji wiele ciekawych tematów „prosto z życia” do reportaży, publicystyki.

I jeszcze jedna forma współredagowania gazety, a jednocześnie zasięgania opinii czytelników w różnych sprawach. Forma, której „SM” pozostaje wierny od lat: ankiety. Pierwsza z datą 16—17 lutego 1957 r. nazywała się „My, młodzi i wieki atomowego”. Najświeższa zaś, na którą ciągle jeszcze powołują się socjologowie, to ankiet „Wszystko o młodych małżeństwach”. Wiele było różnych ankiet, a ostatnio błyskawiczne, poniedziałkowe, w których czytelnicy wypowiadali się na tematy pracy i nauki, szczęścia i rodziny, lekcji przysposobienia do życia w rodzinie i wyboru zawodu, turystyki.

Warto również przypomnieć o takiej akcji jak: — „Błękitna kolekcja „SM”. Tydzień ze „Sztandarem Młodych” na Białostocczyźnie i na Ziemi Bydgoskiej pozwolił czytelnikom „SM” na bezpośredni kontakt z dziennikarzami tej gazety.

Na koniec: nie ma chyba w Warszawie, a i w wielu miastach w kraju, redakcji, w której nie pracowaliby dziennikarze, którzy swoją karierę rozpoczęli w „Sztandarze Młodych”. I tej tradycji — dostarczania kadr — został „Sztandar Młodych” wierny,

TYDZIEŃ PLASTYKI

W dniach od 26. V. do 2. VI. br. trwać będzie w Łodzi Tydzień Plastyki. Łódzkie środowisko plastyczne, najliczniejsze środowisko twórcze miasta, postawiło sobie za cel szeroko i różnorodną formę prezentacji własnego dorobku. Nie trzeba chyba dodawać, że imponujący dorobek i zasługujący na wszechstronną popularyzację. Z drugiej zaś strony, z racji nie zawsze sprawnie funkcjonujących środków przekazu oraz z powodu wciąż jeszcze dużych usterek w samym mechanizmie propagandy sztuki — nie najlepiej znany szerokiej publiczności. Dlatego wydaje się, że inicjatywa Łódzkiego Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, zmierzająca do rozpowszechniania, rozpropagowania, popularyzowania twórczości łódzkich artystów wśród społeczeństwa miasta i przybliżenia problemów nurtujących środowisko plastyczne temuż społeczeństwu jest inicjatywą cenną i potrzebną. Może w przyszłości stanąć się tradycją.

W trakcie trwania Tygodnia Plastyki w prasie ukażą się liczne artykuły omawiające problemy i dorobek łódzkiego środowiska. Zorganizowane zostaną ekspozycje w salach wystawowych i w zakładach pracy. Inauguracją Tygodnia będzie otwarcie wystawy Ogólnopolskiego Konkursu na Grafikę. Udział w niej wezmą także Pałac na Wileńskiej — nowa siedziba Biura Wystaw Artystycznych i kilku sal wystawowych. Czytelnicy „Dziennika Łódzkiego” będą mogli (przy odrobinie szczęścia) nabyć egzemplarze gazety z całościową reprodukcją grafiki Henryka Pióciennika lub Edwarda Habbasa, które to reprodukcje wydrukowane zostaną w ilości 2 tysięcy egzemplarzy i włożone w poszczególne numery. Odbędą się również liczne aukcje dzieł sztuki, w tym duża aukcja na rzecz budowy Zамku Warszawskiego, Funduszu Ochrony Zdrowia i Centrum Zdrowia Dziecka. Przewiduje się również specjalną dekorację ulicy Piotrkowskiej. Jednym z elementów tych dekoracji będą obrazy wystawione w witrynach sklepów. Telewizja ze swojej strony przygotuje show z udziałem artystów, a więc Tadeusza Chyły, Jacka Fedorowicza i innych.

W sumie Tydzień Plastyki zapowiada się interesująco. A hasło z tym Tygodniem związane narzuca się samo: Mieszkańcy Łodzi — najpierw czynnie uczestniczymy w imprezach Tygodnia Plastyki, a kiedy skończy się Tydzień, chodzimy nadal na wystawy plastyki tak, jakby Tydzień trwał nadal. Tydzień Plastyki zamienimy w Rok Plastyki. A potem bez sztuki nie będziemy się już mogli obejść.

A.G.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: IERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, BERNARD SZTAJNERT.



MAJE...

FOTOREPORTAŻ
WŁODZIMIERZA PARYSA



MARIAN STROBIN

TAMTE MAJE

„Krwawa niedziela” w Petersburgu 22 stycznia 1905 roku zapoczątkowała rewolucję w całym niemieckim imperium rosyjskim. Główne jej zadania sprowadzały się do walki o swobody polityczne oraz poprawę warunków życia proletariatu i mas chłopskich.

W prowincjach wielonarodowościowego cesarstwa rosyjskiego budziły się narody uciskane przez carat. Społeczno-polityczne treści rewolucji zostały więc wzbogacone dążeniami narodowyzwoleniczymi.

Charakterystyczna dla lat 1905—1907 była różnorodność form wystąpień rewolucyjnych, jak strajki powszechne, manifestacje, rozruchy chłopskie, walki barykadowe, strajki młodzieży szkolnej.

Solidaryzując się z walką robotników rosyjskich, proletariats Łodzi już piątego dnia po wypadkach w Petersburgu przystąpił do powszechnego strajku politycznego. 27 stycznia 1905 [...] stanęły wszystkie fabryki, tramwaje, teatry.” W rezultacie dwutygodniowego strajku 100 tys. robotników łódzkich, fabrykanci zmuszeni byli uznać delegację fabryczną.

W kwietniu przeszła przez Łódź fala następnych strajków. Atmosfera walk strajkowych stwarzała dogodny grunt dla propagandy pierwszomajowej.

Obchody majowe w tym okresie, kumulujące w sobie strajk i manifestację uliczną, poprzedzane były zawsze wzmoczoną agitacją partii robotniczych. W odezwie Zarządu Głównego SDKPiL, licznie rozpowszechnianej wśród proletariatu Łodzi, czytamy: „[...] dążymy do obalenia samowładztwa [...] łakniemy wolności politycznej, praw obywatelskich, jak światła i powietrza [...] przeciwko rządowi carskiemu stajemy my, cała klasa robotnicza [...]. W nadechodzący dzień Wielkiego Świąta Robotniczego, w dzień Pierwszego Maja [...] damy i my wyraz naszej woli nieugiętej walczenia aż do ostatka z rządem samowładczym przez powszechne zawieszenie pracy!” Odezwą Centralnego Komitetu Robotniczego PPS, również rozpowszechnianą w Łodzi, treścią zbliżoną była do cytowanej. Warto jednak przedstawić niektóre jej fragmenty: „[...] Świąto majowe w tym roku ma znaczenie donioślejsze niż zwykle: jest to przegląd sił rewolucyjnych przed stanowczą walką z caratem, która jest już bliska [...]. To będzie najwspanialsza demonstracja, najlepszy przegląd naszych sił. W ten sposób damy wszystkim odczuć niezmierną siłę ludu pracującego, którego mocna dłoń potrafi pchnąć świat cały na nowe tory ku lepszej przyszłości!”

Zgodnie z intencją odezw pracę w Łodzi „zawieszono”. Postanowiono jednak nie urządzić jednej wielkiej manifestacji, lecz kilka w różnych punktach miasta. Chodziło bowiem o to, by rozproszyć siły policji i nie narażać okazji do jej zmasowanego ataku, a tym samym uniknąć ofiar.

Liczba strajkujących robotników powiększała się z godziny na godzinę. Wielotysięczne rzesze wyległy na ulice w różnych dzielnicach miasta. Manifestowano na Milionowej, Przedzłazianej, Głównej, Włodzkiej (ob. Kilińskiego), Piotrkowskiej, Południowej, Łąkowej, Łagiewnickiej, Wschodniej, Zarzewskiej i wielu innych ulicach. Natomiast wiece robotnicze zebrały się na Wodnym Rynku (ob. Plac Zwycięstwa), Górnym Rynku (ob. Plac Niepodległości) i Bałuckim Rynku.

Na Wodnym Rynku odbyły się w dniu 1 Maja dwa wiece. Po raz drugi zebrała się tu manifestacja w godzinach popołudniowych. Doszło do starcia z policją i wojskiem. Kamienie i rewolwery w rękach robotników posłużyły do odparcia ataku.

Podobne starcia notowano również w innych rejonach miasta. W Włodzkiej — na Szoście Rokicińskiej (ob. Armii Czerwonej) robotnicy, budując zasieki z drutów, zabezpieczyli się przed atakiem dragonów. Na Bałuckim Rynku odbito z rąk policji aresztowanych robotników. W dzielnicy bałuckiej miały też miejsce wydarzenia szczególnie wstrząsające. Zastrzelono tam chłopca, którego posądzono o kradzież karabinu. Gdy oburzony tłum zaprotestował, ponownie do broni. Tym razem padła kobieta i 8-letnie dziecko. Kilka osób raniono. Inny incydent wydarzył się na ul. Wschodniej. Manifestanci zatrzymani zostali przez oddział wojska przy ul. Kamienną (ob. Włókniennicza) i wezwani do rozejścia się. Robotnicy odpowiedzieli strzałami z rewolwerów a z okolicznych dachów posypały się kamienie. Wojsko użyło broni.

„Nasza dzielnica [...] — wspominał jeden z uczestników obchodu pierwszomajowego — zebrała się wcześniej rano na Główną. Kilku towarzyszy niosło sztandary. Było nas kilkaset

Dalszy ciąg na str. 5

KLASA ROBOTNICZA

Dalszy ciąg ze str. 1

— W pierwszym pytaniu postawił Pan sprawę najistotniejszą: jaki jest generalny cel naszych badań, których dotychczasowym wynikiem są wspomniane przez Pana tomy studiów i pierwsza część zarysu, publikacje Pracowni Dziejów Klasy Robotniczej Instytutu Historii PAN, tak wysoko ocenione przez Pana ku pełnej satysfakcji naszego zespołu. Zacytowane przez Pana słowa z mojego wstępu odzwierciedlają najzupełniej nasze zamiary. Badaniemi naszymi kieruje bowiem dążenie do zbadania i wyjaśnienia kompleksu czynników obiektywnych i subiektywnych, które spowodowały, że klasa robotnicza, ta najmłodsza klasa nowożytnego społeczeństwa polskiego szybko wysunęła się na czoło życia społecznego i politycznego kraju, stała się głównym motorem jego tendencji wywoleńskich, politycznych i społecznych, stała się podstawowym czynnikiem dynamizującym nasze dzieje odczyszczone. Lecz tę rolę klasa ta będzie odgrywała dopiero w 1870 roku: pokażemy to w drugiej części naszego zarysu, który już wkrótce zostanie przeze mnie złożony w Redakcji Historii PWN.

Dopiero po 1870 r. w warunkach szybkiego rozwoju gospodarczo-społecznych stosunków kapitalistycznych zarysują się wyraźnymi liniami nowe układy klasowe, których zasadniczą cechą będzie klasowy antagonizm między klasą robotniczą a burżuazją, dwiema podstawowymi grupami społecznymi naszego nowego społeczeństwa. Procesy kapitalistyczne zerwały dawne więzi struktury stanowej, gwałtownie zintensyfikowały mobilność społeczną, zaktywizowały szerokie kręgi społeczeństwa. Uległy nasileniu procesy rozwoju samowiedzy społecznej mas ludowych, a brak wolności narodowej i polityka zaborców stanowiąca groźbę dla bytu narodowego wywoływały wzrost świadomości narodowej i uczuć patriotycznych. Równoległe ucisk narodowy potęgował nierówności społeczne, zaostrzał konflikty klasowe. Wzmagano to nastroje wywoleńskie mas, zwłaszcza gdy władza zabójczy stawała na straży „ładu i porządku” umacniającego się systemu kapitalistycznego.

Ziemiaństwo — szlachta utraciło swój prymat polityczny po 1863 r., pograżyło się w politykę ugody, trójlojalizmu. Lecz nadal odgrywało istotną rolę w życiu kraju, gdyż kraj nasz nie przeszedł w przemianach kapitalistycznych przez rewolucję burżuazyjno-demokratyczną. Dlatego też i burżuazja w Polsce, tak silnie zróżnicowana pod względem narodowym i religijnym, nie przeszła — jako „spóźniony przybysz” swego heroicznego okresu, jak na Zachodzie. Nie w walce z feudalizmem z „ancien régime”, zdobywała pozycję, lecz w ekonomicznym i politycznym kompromisie z ziemiaństwem i pod opieką — czyimi skrzydłami rządów zaborczych. Powstała i rozwijała się politycznie wówczas, gdy ukształtowała się już awangarda proletariatu, formułująca własne aspiracje decydowania o losach kraju. Stąd rysowały się wyraźne niebezpieczeństwa dla burżuazji, obawa przed rewolucją burżuazyjno-demokratyczną, która mogła zagrozić jej klasowemu panowaniu, wobec własnych aspiracji społecznych i politycznych, wywoleńskich, mas ludowych a proletariatu przede wszystkim.

Dowodem zajmowania przez klasę robotniczą poczesnego miejsca w dziejach narodu jest już rok 1905. Społeczeństwo polskie zobaczyło wówczas, że wielki rewolucyjny zryw klasy robotniczej, stanowiącej mniejszość ludności Królestwa Polskiego, był pierwszym na tak wielką skalę zrywem politycznym, społecznym i wywoleńskim, że porwał za sobą do czynnej i bezpośredniej walki o wolność polityczną i narodową oraz o zdobycze społeczne wielokrotnie liczniejsze od siebie masy społeczeństwa — milionowe rzesze chłopów, szerokie kręgi postępowej inteligencji, młodzieży. Zainicjowana przez proletariata walka skupiła wokół siebie wielokrotnie szersze kręgi społeczne, niż jakikolwiek zryw powstańczy w XIX wieku, i ta właśnie walka, w ramach ogólnorosyjskiej rewolucji ludowo-demokratycznej, po raz pierwszy od upadku powstania polskiego stworzyła rzeczywiste zagrożenie władzy zaborczej, a milionowe rzesze uświadomiły sobie po raz pierwszy możliwość i realność walki o zrzucenie obcego jarzma, o zmianę warunków materialnych i politycznych swego życia. Walka tej klasy wyznaczała w dalszych dziejach narodu kolejne etapy ruchu wywoleńczego i przemian społeczno-politycznych.

Fytanie sformułował Pan w związku z opublikowaną pierwszą częścią zarysu; to co powiedziałem odnosi się do czasów późniejszych. Ale co się tyczy spraw wcześniejszych należy podkreślić, że w pierwszych powstaniach narodowych udział czołowej rzeszy robotniczej, wyrobniów, służby nadawał wydarzeniom nowy impuls a nieraz i nowy kierunek w walce przeciw zdradzie, wprowadzając radykalne a nawet rewolucyjne metody

walki wywoleńczej. W noc listopadową właśnie ich aktywność w ramach wystąpienia warszawskiego plebsu uratowała polską rewolucję.

Narastający front walki klasowej i aktywności mas plebejskich w ramach wywoleńskich umacniał siły obozu demokracji, lewicy społecznej. Powstanie krakowskie 1846 r. czy wydarzenia Wiosny Ludów, to wyrażny krok naprzód w ujawnianiu się aktywności elementów plebejskich. Ożywienie narodowe i polityczne przez 1863 r., jak i samo powstanie zbulwersowało te elementy w szerokim zakresie. Dowodem tego nie tylko udział czołowej rzeszy robotników w konspiracji niepodległościowej, szerokie uczestnictwo w manifestacjach patriotycznych i wreszcie — bynajmniej nie

— polityczne dokonane w Polsce w latach 1944—1945.

— Ideowe inspiracje przewartościowań sądów o przeszłości, to jednocześnie nowe założenia metodologiczne, warunkujące nasze spojrzenie na dzieje. Polska marksistowska historiografia nie jest już wcale tak młoda, jak się niekiedy myśli, ma już swą własną historię i spory dorobek, bez którego nie można byłoby podejmować tak ambitnych dzieł, jak kierowana przez Pana synteza. Ale przecież dzieło to, choć wyrasta z tradycji naszej marksistowskiej historiografii, wykracza znacznie poza to, co robiono dotychczas. Na czym polega Pańskim zdaniem nowość — nie waham się tu użyć tego słowa — przyjętych przez Pana i innych autorów dzieła założeń

kretnych wypadkach uzupełniane kryteriami innego charakteru, jak swobody trybu życia, zakres odczuć przynależności do klasy, spójność wewnętrzna czy odczucie kontrastów społecznych, kryteriami kulturowymi, a więc wyznacznikami socjologicznymi. Uwagi te nie powinny jednak przesłaniać faktu, że w aspekcie roli, jaką klasa ta odgrywała i odgrywa, główna uwaga winna być skupiona na proletariacie przemysłowym, a zwłaszcza wielkoprzemysłowym.

Spośród innych spraw o charakterze metodologicznym chciałbym tu szczególnie silnie podkreślić jedno zagadnienie: wyniki badań nad dziejami klasy robotniczej powinny mieć istotne znaczenie dla zrozumienia najważniejszych zagadnień całokształtu naj-

sy robotniczej. Chcemy poznać ekonomiczne przesłanki jej rozwoju we wszystkich okresach dziejów najnowszych, źródła jej rekrutacji, problematykę mobilności, liczebności, rozmieszczenia i struktury oraz miejsca klasy robotniczej w strukturze społeczeństwa kapitalistycznego, jak i społeczeństwa Polski Ludowej. Zbadania wymaga sytuacja prawna klasy, ustawodawstwo społeczne, warunki pracy, czas pracy, płace, systemy rozliczeń, wartość realna zarobków i wiele innych zagadnień. Na tym tle chcemy zbadać pierwsze przejawy i formy oporu robotniczego, rozwój żywiołowego ruchu strajkowego, zakresy oddziaływania organizacji socjalistycznych i ich wpływ na formę i treść wystąpień robotniczych, formy agitacji w środowisku robotniczym oraz udział robotników w organizacjach, postawy klasy wobec podstawowych problemów życia społecznego i politycznego, jej rolę w ruchu narodowo-wywoleńskim. Pozwoli to pokazać oddziaływanie stanu świadomości klasy i jej awangardy na taktykę i programy partii robotniczej. W zakresie tej problematyki wchodzi analiza dynamiki ruchu robotniczego, zbadanie form windykacji robotniczych, analiza postulatów, efektów materialnych i moralnych walki oraz tak istotne zagadnienie, jak oddziaływanie programów i organizacji, zakresy wpływów i metody oddziaływania partii, percepcja głoszonych haseł w środowisku robotniczym i ich wpływ na postawę określonych kręgów proletariatu, drogi rekrutacji członków partii, analiza składu społecznego poszczególnych organizacji itp. Dużą uwagę chcielibyśmy zwrócić na szeroko pojęte zagadnienia kultury, wydobywając czynniki kształtujące ją w środowisku robotniczym, na zagadnienia obyczajowości, życia rodzinnego, kultury materialnej, jak i moralności i etyki środowisk robotniczych.

— Dzieło, którego Pan jest redaktorem, opatrzone skromnym podtytułem: „Zarys dziejów”. Dlaczego tak skromnie? Osobiście użyłbym tu określenia: „Próba syntezy”.

— Chcielibyśmy uniknąć terminu niewątpliwie już nadużywanego. Zdawaliśmy sobie jednocześnie sprawę z zakresu odpowiedzialności, jaki to słowo pociąga... Jesteśmy w naszym zespole bardzo krytyczni wobec naszego dzieła. Odczuwamy np. brak próby przeprowadzenia porównań badanych procesów w skali międzyzaborowej, w całokształcie ziem polskich. Dlatego chcemy pozostać przy „zarysie dziejów”, a krytyka naukowa niech stwierdzi, na ile nasz zarys może być, jak Pan proponuje, „próbą syntezy”.

— Sądzę że właśnie nią jest; jeżeli widzimy dziś, jak Pan podkreśla, potrzebę uzupełnienia zaprezentowanego obrazu o dodatkowe elementy, to w niczym nie zaprzeczając charakterowi dzieła jako syntezy. Przecież w nauce nie ma wysztykowanej syntezy takich, które by nie mogły być zmodyfikowane, zmielowane! Właśnie opracowanie syntezy pozwala na dojrzenie tego wszystkiego, co jeszcze trzeba zrobić i tak jest chyba w wypadku „Zarysu”. Ale rozumiem, że skromność jest zaletą uczonych, że lepiej mniej zapowiadać, zaś więcej uczynić: tak jest i w tym wypadku. Mamy więc pierwszą część pierwszego tomu dzieła. A co z dalszymi? Co nowego przyniosą i kiedy możemy się ich spodziewać?

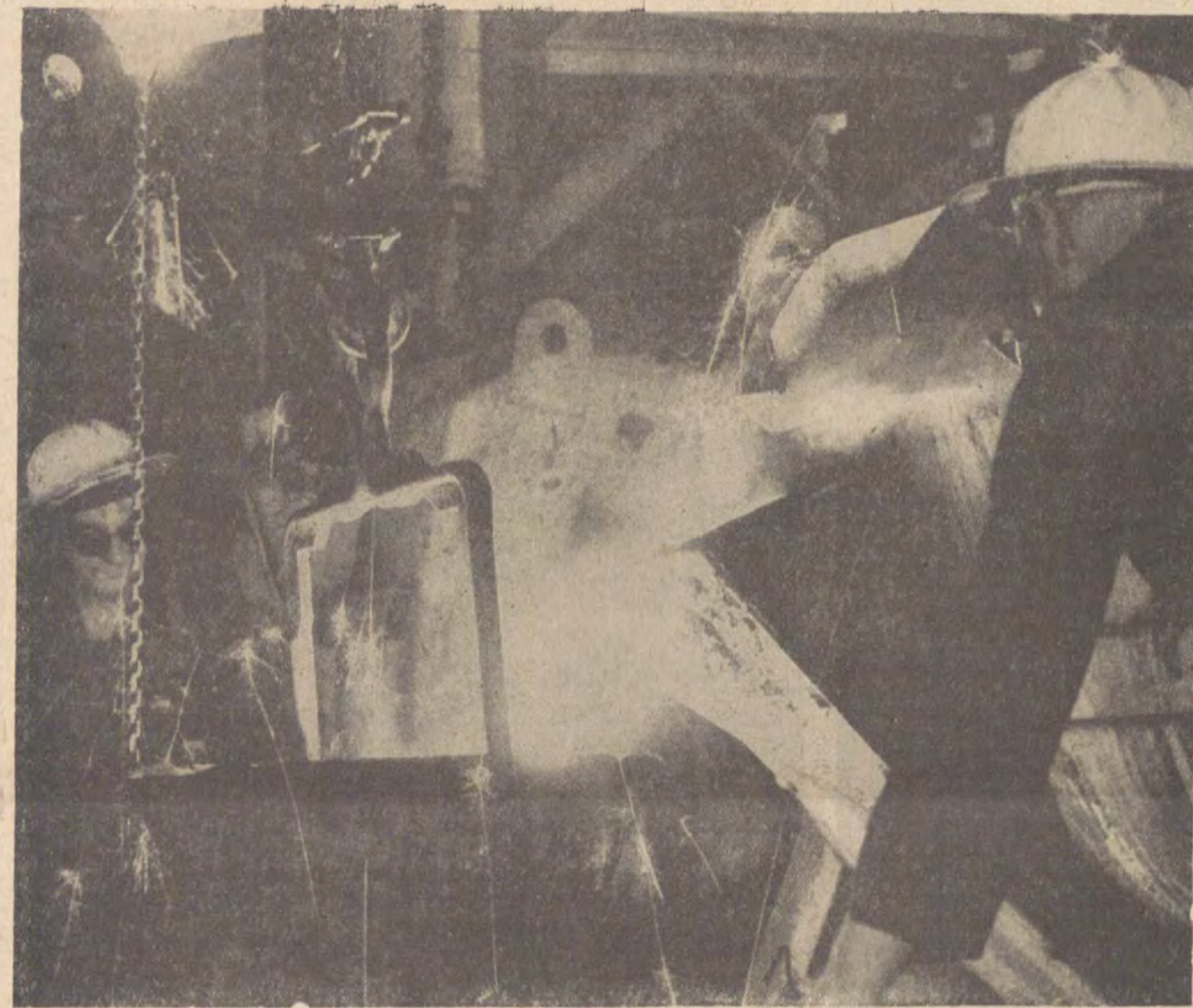
Pracujemy szerokim frontem, a to dzięki współpracy historyków z kilku ośrodków uniwersyteckich w Polsce oraz kolegów z Instytutu Historii PAN spoza Pracowni Dziejów Klasy Robotniczej. Część druga, która ukaże się w przyszłym roku, zamyka tom pierwszy obejmujący okres do 1918 r. Tom drugi ogarnia czasy II Rzeczypospolitej, wojny i okupacji. Tom trzeci chcemy poświęcić okresowi Polski Ludowej, aż do czasów nam najbliższych. Kontynuujemy wydawnictwo „Polska klasa robotnicza. Studia historyczne”, zdając sobie dobrze sprawę, że jesteśmy dopiero u początku szeroko zaplanowanych badań. Rozszerzenie zakresu problemowego, wydobywanie wszelkich relacji i korelacji, unowocześnienie warsztatu historycznego — to zadania, które staramy się realizować.

Zyciwy stosunek do naszej pracy z jakim wielokrotnie się spotykamy, zrozumienie naukowej i społecznej wagi tej problematyki, co znalazło tak wyraźne odzwierciedlenie w Pańskich wypowiedziach tu uwagach oraz w szeregu felietonów, jest dla naszego zespołu istotną zachętą i utwierdzeniem w słuszności podejmowanych wysiłków.

Rozmawiał:
ANDRZEJ F. GRABSKI

Prof. dr Stanisław Kalabiński, wybitny badacz dziejów klasy robotniczej i ruchu robotniczego, profesor Instytutu Historii PAN, kierownik Pracowni Dziejów Klasy Robotniczej, autor prac o Rewolucji 1905—1907 r., polityce polskiej w początkach XX w., inicjator i kierownik zespołowych badań nad dziejami polskiej klasy robotniczej.

PRÓBA SYNTEZY



Fot. Włodzimierz Parys

mała obecność w oddziałach powstańczych, w szeregach żandarmerii narodowej itd. Czyż nie świadczy w dramatyczny sposób o obecności tworzącej się klasy w politycznym życiu kraju, w jego wywoleńskich aspiracjach, śmierć na szubienicy 26 sierpnia 1862 r. trzech czołowników warszawskich za zamachy na w. ks. Konstantego i margrabiego A. Wielopolskiego oraz publiczną egzekucję robotnika Algiera na podwórzu fabryki Evansa dnia 7 października 1863 r.?

To wraz z innymi faktami, świadczącymi o zaangażowaniu rodzającego się proletariatu w walce społecznej, ekonomicznej i politycznej jest wyrazem szybko narastającej i coraz wyraźniejszej obecności kształtującej się klasy robotniczej w polskim życiu politycznym.

— W dziejach historiografii każda nowa propozycja spojrzenia na przeszłość, przewartościowań dotychczasowe wyobrażenia historyczne, miała swoje uzasadnienia ideowe. Na wstępie do syntezy pisze Pan, że chodzi w niej o „poszukiwanie genealogii społecznej dnia dzisiejszego”. Jak określiłby Pan najogólniej ideowe inspiracje tego wielkiego przedsięwzięcia, które poczęło już przynosić owoce?

— Już dotychczasowe prace moich kolegów — współpracowników oraz moje własne, zwłaszcza zaś przeprowadzone z prof. dr F. Tychem badania nad rewolucją 1905—1907 r., pozwalają nam chyba wyraźniej stwierdzić, że zainicjowana przez klasę robotniczą w Polsce ruch rewolucyjny i narodowo-wywoleńcy byli najistotniejszym czynnikiem politycznym, który przygotował odrodzenie państwa polskiego w 1918 r., że konfrontacja klasowa ujawniająca się obrzmiała siłą i wyrazistością w okresach wielkich wstrząsów politycznych, społecznych i wywoleńskich — takim była rewolucja 1905—1907 r. — były nie tylko ważnym elementem samookreślenia politycznego proletariatu, ale stanowiły istotny wkład do okrzepnięcia nowoczesnego narodu polskiego. Z tej perspektywy można będzie dopiero właściwie zrozumieć i ocenić historyczne przemiany społeczno-

metodologicznych? Dzięki wszechstronnemu spojrzeniu na problematykę dziejów klasy społecznej zyskujemy nową perspektywę dla badań nad dziejami ruchu robotniczego. Myślę, że zgodzi się Pan z poglądem, że w coraz większej mierze będą one odchodziły od tradycyjnych wzorców historiografii organizacyjno-wydarzeniowej, że staną się w przyszłości nowoczesnymi badaniami z historii społecznej.

— Założenie podstawowe, postulowane od dziesięcioleci, jest oczywiście truizmem, ale sądzę, że warto je przypomnieć. Chodzi bowiem o to, że wprowadzenie w zakres historycznego widzenia szerokich kręgów społecznych, mas ludowych jest dzisiaj postulatem każdej nowoczesnej historiografii, a powinno być nim tym bardziej dla dziejopisarstwa marksistowskiego. Poznanie „anatomii” naszego społeczeństwa oraz całego kompleksu historycznych uwarunkowań kierunków rozwojowych, dynamiki określonych przemian społecznych, ruchów społeczno-politycznych, prądów ideowych i kulturalnych, wszystko to jest wielkim zadaniem nauki historycznej. I te właśnie założenia pragniemy wcielić w życie w naszych badaniach nad dziejami klasy robotniczej.

A sprawa pojęcia „klasa robotnicza”? Poglądy historiografii oscylowały między objęciem tym terminem wszystkich elementów proletariatu, a zwięźleniem go jedynie do proletariatu przemysłowego. Zajęliśmy stanowisko, że pojęcie klasy robotniczej jest kategorią historyczną, a więc zmienną, że podlega zmianom wraz z rozwojem struktury ekonomicznej i klasowej społeczeństwa, z rozwojem samej klasy, ze wzrostem jej roli i znaczenia. Uchwycenie więc przemian w składzie i strukturze grup składających się na klasę robotniczą, jest ważkim zadaniem badawczym zwłaszcza że struktura klasowa nie zawsze jest określona wyraźnymi konturami.

Ważnym kryterium jest marksistowskie pojęcie „klasy w sobie” i „klasy dla siebie”, inspirujące że klasa robotnicza będąc przede wszystkim kategorią ekonomiczną, jest również i kategorią społeczną. Toteż wyznaczniki ekonomiczne mogą być w kon-

nowszych dziełach Polski, a zwłaszcza dla zrozumienia szeregu problemów z historii polskiego ruchu robotniczego. Tak więc efekty badań nad dziejami klasy robotniczej powinny rzutować na poznanie więzi między masowym ruchem proletariatu a oddziaływaniem partii robotniczych na społeczeństwo, powinny przyczynić się do pogłębionego zrozumienia miejsca i roli partii robotniczych jako awangardy klasy. Badania tego rodzaju powinny poszerzyć naszą znajomość struktur społeczno-politycznych partii, co będzie istotne znaczenie dla poznania dróg i etapów rozwoju polskiego ruchu robotniczego. I tutaj wysuwa się ważne zagadnienie więzi między określonymi koncepcjami ideowymi — programowymi, a społecznym zapleczem partii politycznych, ich ideologii i kierunków działania. Nie można ich wciąż rozpatrywać w próżni społecznej, w oderwaniu od klas czy warstw, od uwarunkowań społecznych, które miało istotne znaczenie dla poznania dróg i etapów rozwoju polskiego ruchu robotniczego. I tutaj należy ująć w bezpośrednim powiązaniu z dziejami klasy, która go zrodziła, a jednocześnie pokazywać, jak ruch ten kształtował samą klasę. Inaczej będzie to tylko egzegzeza tekstów programowych, zmienna w zależności od historycznego etapu, w którym dokonuje się tego rodzaju analizy. Jakże często operowano u nas na tretnymi i ahistorycznymi określeniami wartościującymi, bez analizy całego kompleksu przyczyn, które warunkowały określone sytuacje, założenia i ujęcia!

— Można by więc podsumować, że dopiero wszechstronne ujęcie problematyki pozwala na ukazanie tego, co najistotniejsze, a mianowicie aktywność klasy robotniczej w procesie historycznym. Aby wszystko stało się jasne: jak określiłby Pan zakres problemowy historii klasy robotniczej w stosunku do problematyki tradycyjnie uprawianej w naszej historiografii, takiej jak historia położenia klasy robotniczej itd., aż po historię ruchu robotniczego?

— Pragniemy wykraczać poza tradycyjne zakresy badawcze. Chcemy w miarę naszych możliwości przedstawić maksymalnie szeroki zakres problemów kształtowania się, rozwoju, życia, świadomości, aktywności, kultury kla-

ŻYCIORYSY WSPÓŁCZESNE

Dalszy ciąg ze str. 1

dalem do Piotrkowa. Bo tak, brat stolarz, siostra krawcowa, ojciec wapiennik robi, a ja niby gorszy? Skończyłem zawodówkę nr 1 przy Roosevelta i zacząłem się rozglądać za jakąś robotą, ale w Sulejowie nie ma miejsca dla ślusarzy, już dawniej gadali, że wapienniki się kończą i do dziś tak gadają.

No to co? Zaciągnąłem się do „Piomy” i jeżdżę tak już jedenaście lat z Sulejowa. Wstaje o wpół do czwartej, pedałuję półtora kilometra do ciuchci i na szóstą zawsze jestem w robocie. Wychodzę o czternastej, za pół godziny mam kolejkę i przed szesnastą dobiegam do domu.

dwa dni scementowali się we wspólniej robocie.

Oslabione brakiem orłów brygady nie spadły z planem. A ci z szesnastki podzielili się na połowy: jeden robił na estakadzie, drugi w hali i nawet współzawodniczą ze sobą. Nie pozostają rzecz jasna, osamotnieni: do pomocy rusza kooperacja, czyli wydział przygotowawczy, obróbki mechanicznej, spawalniczy i malarnia.

Patrzyłem na tych chłopaków ze łzami w oczach. Pracowali po dwa-nastu godzin, w niedzielę również. Zarabiali, twarzą zapadła, a w oczach zaciętość. Pytałem, czy wytrzymają. Jedni mówili, że wstyd byłoby nawalić, inni, że będzie za to gruba forsa, ci znowu, że jak się da-

wnictwa Miejskiego i wojsko. Po wojsku przerzuciłem się do „Mostostalu” i w 62 roku zacząłem budować halę nr 51 w „Piomie”. Halę zbudowałem i zostałem do dziś. Raz, że robota była pewna, a dwa, że się ożeniłem i młoda żonka powiedziała: „Koniec kawalerstwa, Jaslu, chłopaka po ślubie potrzebuje mieć w chałupie i ty nie będziesz fruwać po delegacjach!”. Teraz jestem piotrkowianinem, mieszkam i rodzinę mam na miejscu.

Z tą wieżą zaczęło się od sekwów z materiałami, ale ostatecznie ściągnięto wszystkie z zaopatrzenia. No, dobra, tylko co dalej? Konstrukcja nietypowa, bo rurowa, i będą trudności na scaleniach, to znaczy przy spawowaniu połączeń. Jakżeśmy się

już nie ma na nic. Nawet na telewizję nie patrzy. A przy tej wieży wyspać się nie było kiedy.

— Montowałem część środkową wieży w parze z kumplem, Karkochą Mańkiem, co ma rodzinę w Białej. Pamiętam, że z początku nie można było się ruszyć, ale jak trochę tych części wywieziono, to już poszło.

Ja pracuję tutaj, bo u ojca na pięciu hektarach został brat, który dodatkowo jeździł ciągnikiem. Mieszkam u teściów. W jednej izbie chorego teścia, wciąż leży, małe dziecko, więc gdyby nawet, to gdzie się uczyć? Czasu też nie ma. Gdybym miał mieszkanie w Piotrkowie, siedziałbym w technikum. Ja wiem, że trzeba się podciągać. Przecież będziemy

TAMTE MAJE

Dalszy ciąg ze str. 3

osób. Postanowiliśmy się rozjechać, żeby nie drażnić policji. Następnie miejsce zbiórki wybraliśmy na Widzewskiej, tuż przy Nawrot [...]. Sztandary powiewają, słychać okrzyki — Precz z samowładztwem. Nagle z bramy jednego domu na Widzewskiej wypadł oddział kozaków i dalej w tłum stojący na chodniku. Padły strzały. Pochód zakłócił się w marszu, niektórzy czworaki rozsypali się [...]. Kozaki zaczęły trącić [...]. Skrzyżowania ulic: Widzewskiej i Średniej (ob. Nowotki) oraz Wschodniej i Południowej były także areną utarczki zbrojnych.

1 Maja 1905 roku urządzono w sumie na terenie Łodzi ok. 30 manifestacji i prawie wszystkie stały się z policją i wojskiem (I. Pawłowski: Wojskowa działalność SDKPiL. Warszawa 1956, s. 166). Ogółem łódzkie obchody pierwszomajowe wraz z wystąpieniami proletariatu bezpośrednio po obchodach pochłonęły 10 ofiar. Kilku dziesięciu manifestantów odniosło rany.

Wysoko ocenili wystąpienia majowe 1905 roku w Warszawie i Łodzi III Zjazd Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji: „Trzeci Zjazd SPRR [...] wita z uznaniem męstwo i zdecydowaną postawę bratniego proletariatu Polski oraz wyraża pewność, że wkrótce nadejdzie dzień kiedy proletariatus wszystkich narodowości Rosji zgodnie wystąpi przeciwko znieważonemu samowładztwu i przez odniesienie nad nim ostatecznego zwycięstwa utworzy drogę do dalszej walki o socjalizm”.

Tak wyrażona ocena wystąpień majowych stanowiła kolejny dowód proletariackiego internacjonalizmu, którego duchem nasycony był cały okres rewolucji 1905 — 1907 roku.

Wystąpienia proletariatu Łodzi jesienią 1905 roku osiągnęły, jak zresztą w całym Królestwie Polskim, swój punkt szczytowy. Jednocześnie nasilały się represje władz carskich. Gubernator warszawski Grzegorz Skalon wydał 5 listopada 1905 roku zarządzenie, w którym czytamy: „Wszelkiego rodzaju pochody są zabronione począwszy od dnia jutrzejszego. Jednocześnie z niniejszym wydałem rozkaz wojsku: po trzykrotnym wezwaniu tłumy do rozejścia się, użyć broni!” Taka sytuacja utrudniała obchody majowe w latach 1906—1907.

1 Maja 1906 roku zastrajkowało w Łodzi, według oficjalnego raportu władz carskich, 64552 robotników z 500 fabryk. W mieście rozleciało się proklamacje, rozpowszechniano literaturę propagandową, zawieszano czerwone sztandary. Dochodziło także do utarczek zbrojnych z wojskiem i wandalizmem. Stalej niemal wszystkie fabryki. Pracowało jedynie kilka pod ochroną policji. Duży wkład w zorganizowanie strajku powszechnego wniosła łódzka komórka SDKPiL. Specjalizowała ona specjalne grupy robotników, które docierały do wszystkich fabryk, agitując za przerwaniem pracy. Jednak ruch na ulicach miasta ożywił się dopiero w godzinach popołudniowych. Szczególnie uwidoczniło się to na ulicy Piotrkowskiej, gdzie do godz. 20.00 obryzanie rzesze łódzian przemierzały ulicę. Nie była to jednak manifestacja w ścisłym słowa znaczeniu. Manifestacji ogólnołódzkiej nie zorganizowano z tych samych względów, co w roku 1905. Próby organizowania manifestacji lokalnych nie przyniosły spodziewanych rezultatów.

Ogólnie stwierdzić trzeba, iż sytuacja w Łodzi od lata 1906 roku stawała się niekorzystna dla klasy robotniczej i rewolucji. Dezorientacji politycznej robotników, powodowanej działalnością PPS — Frakcji Rewolucyjnej i aktywizacją Narodowego Związku Robotniczego, towarzyszyła ciężka sytuacja materialna. Burżuazja powszechnie stosowała lokaut. „Kapitałaliści łódzcy — pisali „Robotnik” 22 czerwca 1906 roku — uciekają się do zamykania fabryk, chcąc sterroryzować w ten sposób zrewolucjonizowaną masę robotniczą, skazując na głód i niedzę tysiące rodzin”.

Szczególnie ciężko klasa robotnicza Łodzi przeżyła lokaut wielki, trwający od 22 listopada 1906 do 30 kwietnia 1907 roku.

Mimo tak ciężkich warunków, również w 1907 roku nie zrezygnowano z obchodów pierwszomajowych. Zastrajkowało, jak wskazywał raport naczelnika łódzkiego rejonu wojskowego, 4447 robotników z 344 zakładów pracy.

Jak na warunki łódzkie, liczba strajkujących była jeszcze wysoka. Jednak ten Maj nie miał już charakteru ofensywnego. Były to jedynie akcje obronne, typowe dla okresu cofania się rewolucji.

Obchody pierwszomajowe w okresie rewolucji 1905—1907 roku, jako jedna z form wystąpień robotniczych, wpłynęły na kształt walki. Święto robotnicze pobudzało proletariatus do dalszych wystąpień. Było ważną siłą motoryczną walk masowych. Przyczyniło się więc do uzyskania przez proletariatus tych wszystkich zdobyczy, które przyniosła rewolucja.

MARIAN STROBIN

RYSZARD BINKOWSKI

ROBOTNICY

Kiedyś to była ówsiarka w ośmiu, że dwanaście godzin poza domem, ale teraz mam dwadzieścia dziewięć lat, żonę i córkę, i mieszkam z teściami. Kierownik był, to widział, jak się gnieździć. Chciałbym zrobić technikum i zrobiłbym, gdybym dostał mieszkanie w Piotrkowie. A tak, to nie ma nawet siły obejrzeć telewizji, ale w sobotę musowo będę patrzeć, bo wiem, że Włochom i tak dokopie!

Co się zaś tyczy tej wieży wiertniczej, bardzo byłem ciekawy, jak wyjdzie. Jest tak, jak z szyciem marynarki, rękawy i te inne kawałki osobno, a potem się scala. Dobierał się do dwóch, ja poszedłem w parę z kolegą jednym, Zamerfeldem Kaziem, i prowadziliśmy do końca robotę przy dolnych częściach nogi tej wieży. Nie trzeba było nic mówić, jeden wie, co drugi chce zrobić, nie? Ale my nie sami przecież. W jeden dzień przykładamy stopę, patrzymy w rysunek, i coś jest nie tak. Konstruktorzy mówią, że może być, a na drugi dzień wychodzi, że musi być jeszcze inaczej.

Poszło dobrze, na czas, ale pomyślałem sobie, że jakby tydzień dłużej, to chyba nie wytrzymałbym przy tej cholerniej robocie. Coś się nam należało po miesiącu tej orki, stałe w nerwach, bo o wypadek nie trudno, więc daliśmy w gardło na rozluźnienie, a potem do nowej roboty, bo kopalnie czekają...

Skończył z wyraźną ulgą. AN-DRZEJ OLEJNIK, jeden z pięciu tysięcy zatrudnionych w Piotrkowskiej Fabryce Maszyn Górniczych im. Tadeusza Żarskiego. Żaloga w większości młoda i dojeżdżająca. Ci dojeżdżający powoli wtapiają się w miasto i tworzą nową klasę robotniczą.

2.

Kto ma żonę piotrkowiankę, mieszkanie w Piotrkowie i dwadzieściancie lat pracuje w „Piomie”, ten jest mocno miastowy i już swój, choćby nawet ściągnął tutaj z jakiejś dzikiej doliny bieszczadzkiej. Tak jak kierownik wydziału montażu M-34, TADEUSZ KĄMIERZAK, który po ukończeniu wabrzyńskiego technikum maszyn górniczych z nakazem wkie-szeni przyjechał do Piotrkowa w 1956 roku. Zakład ruszył w lipcu, Kąmierczak poodychał ostatnimi w życiu wakacjami i zjawiał się we wrześniu, aby jako ślusarz ganiać po „ogrzewanych” jeszcze koksiami halach. Potem, po szczebelkach: brygadzysta, mistrz, starszy mistrz, zastępca kierownika, kierownik. Teraz wie, gdzie można dostać w krzyż, kto udaje trupa w robocie, komu dzieje się krzywda i kogo należy pochwalić.

— Prawda, że o nas nie było słyhać podczas otwarcia nowych kopalni i elektrowni. Ale to tylko w publikatorach. W tym roku przyjechał do „Piomy” towarzyszy Gierka i mówił, że wie, jakie my mamy zadania do wyrobienia dla kopalni śląskich, ale czy nie dałoby się dodatkowo, i to w ciągu miesiąca, wykonać wież wiertniczych, dla lubelskiego węgla. Zrobić można, ale nie kosztem innych asortymentów. Tylko jak? To jest coś nowego, u nas nie znamy, i ryzyko duże. Ale przepuścić szansę? Poszliśmy na to ryzyko po polsku, kawalerską szarżą. Towarzyszy Gierka spytał wtedy ministra przemysłu węglowego, czy Lublin jest gotowy na przyjęcie tej wieży, bo „Pioma” na pewno ją zrobi.

No i zaczęło się! Brygada Krawczyka i mistrza Ciesielskiego, gdzie pracuje m. in. Andrzej Olejnik, liczyła ośmiu ludzi, a do wieży potrzebna była szesnastka. Co ja wtedy robię? Otóż wyciągam z wydziału ośmiu orłów, takich do roboty, a nie do pleszczoży, i tworzymy nową brygadę. Pół na pół jest, niby zlepek, ale oni przecież się znają. Już w

to słowo Gierkowi, to nie można się zbłądzić, a drudzy śmiali się, bo rodziny niby pokrzywdzone, ale oni przynajmniej nie będą przed światem myć okien, trzepać dywanów i męczyć się nad innymi, przykrymi dla chłopca porządkami.

U nas stosuje się akord zbiorowy. Jeden drugiemu patrzy na ręce, ale teraz to i patrzeć nie musi, bo każdy wie, że nie ma się co opieprzać: koleś koleś, a robił za mnie nie będzie. To ważne. Druga sprawa to ambicja, a trzecia — zgranie i operatywność brygadzysty i mistrza. Dużą rzecz zrobili chłopaki w marcu, naprawdę dużą. Może dzięki tej wieży ludzie się czegoś o nas dowiedzą. Bo myśmy sroce spod ognia nie wypadli. Od nas maszyny idą do NRD, RFN, Chin i Brazylii.

Zajmujemy się m. in. produkcją krążników, czy hydrocyklonów zaga-

rozłożył z tym całym majdanem, zastawiliśmy przejścia innym, bo gotowe elementy były wielkich rozmiarów. Wszystkiego 120 ton, długość wieży 40 m. Robiliśmy ją po kawałku, ale nogi trzeba było zmontować na miejscu, a ich rozpiętość, czyli rozstaw czterech nóg w kwadracie — 16 metrów na dole i 8 u góry. Najważniejszy był moment ich połączenia. Taką nogę musieliśmy obracać, miejsca brakuje, a musi być dobrze spasowane, bo później chłopaki w polu przekłinaliby nas, marznąć albo mocząc się w deszczu. Kręka można było dostać ze zmęczenia i napięcia nerwowego. Przekrój nogi trójkątny, wysokość 4 metry, takie też rusztowanie, na które co rusz wchodziło się i schodziło.

Robiliśmy cały marzec bez przerwy, zmontowane elementy pojechały wagonami zawczasu zamówioną tra-

produkować coraz nowocześniejsze maszyny. Będziemy robić dla Belchatowa takie tasmociąg, jakich jeszcze w Polsce nie ma...

4.

W czerwcu ruszy w nowej, obecnie usprzątanej hali, produkcja maszyn dla Belchatowa. Będą potrzebni nowi ludzie. Czy się znajdują? Tak, działa szkoła przyzakładowa, pośród hal kręci się nawet sporo dziewcząt w kombinezonach.

W KZ z ust II sekretarza padło istotne zdanie:

— Górników na dole nie przybywa, a zadania wydobywania węgla wzrastają.

To oznacza, że „PIOMA” produkuje coraz sprawniejsze, nowocześniejsze maszyny. Tu nie można puścić bu-



Fot. T. Dzikowski

szczyjących dla lubelskiej miedzi. Podstawę stanowią jednak urządzenia transportu poziomego, kolejki podziemne dla Śląska i transportery. Obecnie budujemy dla Belchatowa trasy szerokich, o niekiedy ułożeniu, przenośników taśmowych wraz z pomocnymi stacjami napędowymi.

3.

Brygadzysta Janusz Krawczyk idzie przez halę montażową. Wysoki, mocny chłop, z wyglądu taki, co to umie kota ostro popędzić, a jak opieprzyć, to z kapti można wyskoczyć. W środku miększy. Drugi sekretarz na oddziale. Mówi, że on ze wsi pod radomszczańskiej; grył życie z tej gorszej strony, a teraz pracuje z chłopakami, którzy też z luksusów nie trafili do „Piomy”.

Szóstka ich drobniuszko siedziała u ojca na kilku morgach, toteż Krawczyk poszedł do zawodówki w Radomsku. Do tej szkoły ścigał chłopskie dzieci nauczyciel, Józef Skubisz, działacz ludowy i pierwszy „czerwony” starosta w województwie. Bardzo dobry fachowcy wychodzili spod jego ręki.

— Zaczęłem jako ślusarz w me-blach giętych, potem Zakład Budo-

są przelotową (ze względu na wysokość konstrukcji) i spokoj...

Jak do tego doszło? Zwyklejaśnie. Brygadystą jestem od 66 i przez ten czas dobrałem zespół ludzi, którzy mi nie nawalają. A robota odpowiedzialna, elementy montuje się na suwnicach i jeden za drugiego nie będzie robił. Jest określone zadanie, po wykonaniu którego zarobki dzieli się sprawiedliwie, proporcjonalnie do grup zawodowych.

Jasne, że same aniołki nie chodzą koło mnie. Zaproszy się kiedyś, to albo udać, że się nie widzi, jak nie jest zupełnie źle, albo wygnąć do domu. Na drugi dzień opierdulać, rób teraz za dwóch, bo wczoraj robili za ciebie. To są chłopaki przyjezdne. Jeżdżą z Sulejowa, Rozprz, z Kamińska, Białej, jak chociażby Stanisław Matuszczyk.

STANISŁAW MATUSZCZYK jest drobny, blondynkiem o chłopięcej twarzy. Lat dwadzieścia pięć, żona, trzyletnie dziecko. Od ośmiu lat (po zawodówce na Roosevelta) w „Piomie”. Z Białej jest 23 km autobusem; ale do przystanku ma 5 kilometrów. Dojeżdża do dworca w Piotrkowie, na czerwonej „emzetke” trudno się nieraz dostać, teściom też trzeba pomóc w polu, więc czasu

bla, bo górnicy nie przyjmą. W związku z tym od załogi wymaga się wyższych kwalifikacji. Dla mistrzów i brygadzystów bez ukończonego technikum otwarto trzyletnią szkołę, dającą średnie wykształcenie techniczne. Maturę można skończyć po dwóch latach w technikum.

Ukończenie tej szkoły nie zamyka mistrzom i brygadystom drogi do awansu. Zgłosiło się osiemdziesięciu chętnych, ale wszystkich nie można było przyjąć na kurs przygotowawczy. Już ten fakt dowodzi, że w „PIOMIE” kształtuje się klasa robotników wielkoprzemysłowych. Brygadzysta Krawczyk, odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi, i jego ludzie, właśnie ci dojeżdżający, udowodnili, że oni również zasługują na to miano. Kiedy bowiem w trakcie montażu wieży trafiali na przykre niespodzianki w dokumentacji, nie przerywali pracy. Patrzcie w rysunek techniczny sami podejmowali decyzję, wnosząc odpowiednie poprawki, które nazajutrz inżynierowie akceptowali.

Trzeba wszelkimi siłami pokonać trudności mieszkaniowe Piotrkowa Trybunalskiego, aby tych ludzi zatrzymać. Będą się uczyć i pracować jeszcze wydajniej. Co do tego nikt chyba nie ma wątpliwości.

LITERACKA LEGENDA „LATARNIKÓW”

Na przełomie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zebrała się w Łodzi — mieście wówczas już 150-tysięcznym — grupa zapalonych „do pracy dla idei” młodzieży, która w niedawną i jeszcze niebogatą historię fabrycznego miasta wpisała się jedną z najpiękniejszych kart. Współcześni nazywali ich „Latarnikami”, ale mało kto wiedział, co kryło się w istocie pod pozorami towarzyskich zebrań czy wesołych zabaw młodych, jakie miejscowym zwyczajem urządzali w podmiejskich lasach w dnie wolne od pracy.

Kim byli i z jakimi doświadczeniami przybyli do „polskiego Manchesteru”, który rozrastając się wtedy błyskawicznie, nęcił perspektywami łatwiejszego zdobycia pracy. Otóż — urodzeni w latach 1865—1869 — należeli już do nowej generacji pozytywistycznej, która nie tylko lepiej była przygotowana do podjęcia pracy w określonym zawodzie, ale również krytycznie weryfikowała przekonania i postawę poprzedniego pokolenia, buntując się przeciwko jego zdrowemu rozsądkowi i godzeniu się z rzeczywistością. Przygotowywali ich do życia gimnazja realne i szkoły zawodowe, ale wychowywały i kształtowały światopogląd konspiracyjne kółka i nielegalna literatura. Byli zatem już charakterystycznym wytworem emancypacyjnych dążeń i idei pozytywistycznych, ale równocześnie zdecydowanie przeciwnymi do ich ograniczeń. Nie obciążeni bezpośrednio kompleksem klęski styczniowej, odważnie podjęli sprawy i problemy dotąd przemilczane, lub ostrożnie omijane przez starsze pokolenie. Były to zarówno coraz ostrzej rysujące się problemy społeczne, powracające w obręb zainteresowań młodych wraz z odradzającym się po pogromie Proletariatu ruchem robotniczym i rozwojem idei socjalistycznych, jak i długo przemilczane sprawy niepodległości. Ludwik Krzywicki, uczestnik tego ruchu i jeden z jego ideologów, tak pisał o młodzieży tych lat:

„Pociągali ją czyn odważny. Nie tyle chodziło tam o przekonania, ile o wyładowanie nabrzmiałych emocji, młodzieńczej energii, która z konieczności kierować się wtedy mogła jedynie na tory nielegalne (...) I szumiało w tajnych kółkach, które nieraz dopiero gdy powstawały, upatrywały sobie, co mają robić”.

Odbicie tej ożywczej i pobudzającej atmosfery młodej Warszawy końca lat osiemdziesiątych odnajdujemy w działalności łódzkich „Latarników”. Przenieśli ją na tutejszy grunt wychowankowie warszawskich szkół (głównie Szkoły Handlowej Kronenberga, z której wyszło wielu późniejszych działaczy socjalistycznych) i ówczesnych nielegalnych kółek, którzy łódzkiej młodzieży próbowali zaszczerpieć wyższe ideały i dążenia. Działalność ta przetrwała i miała niespodziewanie w krótkotrwałym, bo zduszonym represjami carskiej policji, ruchu o charakterze rewolucyjnym i objąć także wcale szerokie kręgi fabrycznego proletariatu. W wyniku którego „Łódź drgnęła”, jak określili to pierwszy historyk łódzkiego buntu 1892 roku, Adam Próchnicki.

Powróćmy jednak do historii, do skromnych na początku działań młodych „zapalczyków”, o których jeden z „Latarników”, Artur Głiszczyński — poeta Łodzi, napisze później:

Wpatrzni w cel promienny, bez skargi, bez lęku,
Młodzieńcza pierś gromów
spotykała ciosy,
I sztafardę myśli nowych w silnym
niosąc rękę
Szydzili z burz i wichrów, co
chmurzą niebiosy.
Gdzie jęk wstrząsa piersiami
lub bza oko mroczy,
Tam szliśmy krzepić serca i za-
blizniać rany,
Stawiając przed niedolą spłakany
oczu
Upragnionego szczęścia
Chanaan świetlane.

I jedna myśl ognista zapalał w
sercu budzi
I do czynu młodzieńcze porywała
dłonie!
Naprzód! gdzie tajemniczy ogień
prawdy płonie!
Naprzód w bój odcupienia za
świat i za ludzi!

Pierwszym z „Latarników”, a następnie jednym z najczynniejszych działaczy powstałego w Łodzi w 1891 roku Związku Robotników Polskich, był Ludwik Krasuski (1865—1903), absolwent Szkoły Handlowej Kronenberga, który w 1888 roku osiadł w Łodzi, gdzie otrzymał posadę kasjera na kolei fabryczno-łódzkiej. On na pewno zachęcił swojego młodszego kolegę, Artura Głiszczyńskiego (1869—1910), który szkołę Kronenberga ukończył w 1889 roku, aby przeniósł się do Łodzi, gdzie w istocie widzimy go w 1890 roku już jako urzędnika działu handlowo-taryfowego tejże kolei. Z urzędników kolejowych składała się miała początkowo grupa „Latarników”, niebawem bowiem dołączyli do nich Wacław Dąbrowski (1867—1960) i Feliks Siemiątkowski (brak danych) — również pracownicy kolei fabryczno-łódzkiej.

Nazwę swoją wzięli — pisze Władysław Rowiński, ich rówieśnik (1868—1918) i sympatyk, w dokumentarnym szkicu powieściowym „Julka” — „od mieszkanka złożonego z kilku pokoiów na trzecim piętrze jednego z domów narożnych, głównie dlatego, że mieszkanka owo posiadała wiele okien na

trzy strony świata”. Autor wspomnień o „Latarnikach” i Związku Robotników Polskich, Antoni Szuman (ur. w 1867), czynny uczestnik tego ruchu, pracujący w Łodzi od 1887 roku na kierowniczym stanowisku w fabryce Stephanusa, zapisze, że obszerne mieszkanie „kolejarzy” mieściło się na rogu ulicy Widzewskiej i Dzielnej (obecnej Kilińskiego i Narutowicza).

Wymienieni — poza Rowińskim — stanowili aktywnego owego kółka, które



prowadziło podwójną działalność: na zewnątrz stanowili grupę młodych, pracujących i bawiących się wspólnie kolegów (uczestniczyli w publicznych imprezach i balach oraz popularnych tu „majówkach” i „wrześniówkach” urządzanych na świeżym powietrzu), a konspiracyjnie prowadzili kółka samokształceniowe i działalność oświatowo-uświadamiającą wśród robotników. W tej działalności używali pseudonimów; Szuman notuje, że jego pseudonimem był Bliźni, Głiszczyńskiego — Głizda (Rowiński, że Gambetta), Krasuskiego — Psiakrew, Dąbrowskiego — Dąbr, a Siemiątkowskiego — Spinacz.

Istniał także rodzaj półlegalnej działalności „Latarników” i ta za sprawą Głiszczyńskiego, któremu szerszą działalność wśród robotników uniemożliwiało kalektwo (nie miał prawej ręki), czyniąc go zbyt łatwym do rozpoznania, rozwinęła się wcale szeroko. Były to głównie, organizowane w obszernej mieszkanie „kolejarzy”, „patriotyczne obchody 3 Maja i 29 Listopada”, na które — wspomina Szuman — schodziło się po kilkadziesiąt osób. On też notuje, że wygłaszane na tych zebraniach odczyty, „głównie przez Artura Głiszczyńskiego (...) nawoływały do łączenia się pod sztandarem socjalistycznym, jako jednym gwarantem zdobycia siły, tłumaczyły teorię Karola Marksa i dawały szerokie tematy do dyskusji i sporów. Wkrótce złączyliśmy koło siebie wszystko to z polskiej inteligencji łódzkiej, co było ożywione duchem czynu i patriotyzmu”.

Opisujący te działania Rowiński (już w 1899 r.) i Szuman, który spisał swoje wspomnienia dopiero po przeszło czterdziestu latach, stwierdzają zgodnie, że przywódcą „Latarników” był Głiszczyński.

„Był on — przekazuje Szuman — o owym czasie wśród nas najwięcej wykształconym i w ogóle może najbardziej, zaszczerpal współdziałaczem (...) tę znajomość (tzn. zasad socjalizmu naukowego) we wspólnym czytaniu Marksa i dysputach nad przeczytanymi rozdziałami”.

Potwierdzają to ogłoszone po śmierci Głiszczyńskiego nekrologi; w jednym z nich czytamy:

Po wyjściu ze szkoły Kronenberga został urzędnikiem kolejowym w Łodzi, gdzie wkrótce stał się przywódcą lewego grona młodzieży w duchu społecznym. Wraz z tą młodzieżą oddał się Głiszczyński gorąco sprawie społecznego uświadamienia proletariatu fabrycznego, a jednocześnie należał do organizacji oświaty ludowej, według programu ówczesnych ludowców, do czego też osobistą iniekcją pobudzał miejscową inteligencję polską”.

Działalności „Latarników”, którzy w swych przekonaniach ideowo-politycznych nie byli jednolici, towarzyszyły żywe debaty nad ustaleniem wspólnego programu. Okazało się to niełatwe, mimo że „wszyscy bez wyjątku” widzieli jako główny cel swojego działania „niepodległość Polski socjalistycznej”, jednak dość zasadniczo różnił

się w taktyce pracy z proletariatem, który chcieli do tych zamierzeń zjednać i pozyskać.

„Szuman — czytamy we wspomnieniach — obstawał przy postawieniu w programie na pierwszym miejscu dążenia do niepodległości Polski — Głiszczyński i Krasuski opierali się temu tylko ze względów taktycznych, twierdząc, że hasła te nie są zdolne poruszyć mas robotniczych. Dąbrowski i Siemiątkowski tworzyli na razie niezdecydowane centrum. Godziliśmy się wszyscy na to, że przemawiając do robotników w pierwszej linii w imię ulżenia ich doli, polepszenia ich bytu, podniesienia kulturalnego, zyskamy dla naszej działalności najszersze kręgi”.

W ramach tak najogólniej uzgodnionego programu mieli „Latarnicy” za-

czynny pseudonim „Demagoga”. We wspomnieniach dowodzi się, że udało się jednak ustalić pewne wspólne założenia programowe, wśród których na plan pierwszy wybijała się legalna (oświatowa) i nielegalna (ideowa) działalność uświadamiająca wśród robotników, „rozbudzanie walki ekonomicznej z kapitalistami (strajki i kasy oporu)”, „stworzenie zastępu agitatorów (tworzenie kółek marksistów wśród inteligencji)”.

Działalność ZRP i jej najliczniejszego oddziału prowincjonalnego w Łodzi jest sprawą znaną i zbadaną, na tyle na ile pozwoliły na to nieliczne zachowane dokumenty; przedstawił ją ostatnio w obszernym studium monograficznym Feliks Tych (Związek Robotników Polskich. Anatomia wczesnej

Jowiszem; Prosnowskiego — Psiakrewa; ziemowstrząsem Jowiszem; Jęlatkowskiego — Spinacza; grobóbórcą Marsem; Tumana — Bliźniego; promieniolawcą Apollinem; Gorzemińskim — Turkawkę; egidorbacą Wulkanem; najmłodszego zaś z nich Fajera — Ciołka; agrobójcą Merkurym”.

„Wrzeszcz — notował zgodnie z biografią Głiszczyńskiego Rowiński — przyjechał z Warszawy, gdzie ukończył szkołę handlową, a oprócz swego zwykłego zajęcia był poetą, wieszczącym w natchnieniu uszczęśliwienie świata”.

Prosnowskiego-Krasuskiego przedstawiał jako „umysł głęboki”, szukający środków „do uleczenia raka ciemności wśród ludu”, Jęlatkowskiego-Siemiątkowskiego mianował „obrońcą czci niewieściej”, w Tumanie-Szumanie, odznaczającym się „pięknością li” (potwierdza to fotografia), widział „kochającego wszystkie istoty na świecie”, co uzasadniało jego pseudonim „Bliźni”. Nie dają się już dziś z całą pewnością zidentyfikować tylko dwa pozostałe wymienione przez Rowińskiego nazwiska — Gorzemińskiego i Fajera, być może byli to znani działacze ZRP — Kiziński i Leder.

Te garstkę „pełnej zapалу” młodzieży, która „budziła ducha w niemowlecym organizmie Łodzi”, wpisał Rowiński w łódzką rzeczywistość lat osiemdziesiątych, pokazując jej działania na tle życia przemysłowego miasta rozwijającego się gwałtownie lecz zbyt jednostronnie, nękanego kryzysami ekonomicznymi, które dotyczyły głównie fabrycznego proletariatu, nadto miasta zniemzonego i skorumpowanego. Głiszczyńskiego — „gromowładnego Jowisza”, kreował na przywódcę tej grupy i wkładał w jego usta wszystkie ważniejsze wypowiedzi o programowym charakterze. Oto dla przykładu jedna z nich:

Należy zbudzić z uśpienia to zbiorowisko człowiecze, upodłone nieświadomością — grzmiał Wrzeszcz — Wyplenić egoizm z serc zbydlęconych burżujów. (...) A przede wszystkim trzeba działać. Boja się nas niektórzy. (...) Tym lepiej! Niech burzy krew lojalistów ciemności, gdyż nasza siła w nieprzyjaciółach leży, oni nam pomogą do zwalczania samych siebie — twierdził poeta”.

W szkicu powieściowym Rowińskiego pojawił się także Marchlewski, przedstawiony tu pod pseudonimem „Demagoga” i nazwiskiem Martwińskiego, w takiej oto scenie:

„Ale tu u was strach, co się dzieje — mówił Martwiński. Lud żyje jak bydło, nie ma wśród niego ani dżbia oświaty. Co wy, u licha, robicie?”

— Przekonasz się, kochany „Demagogu”, że nie jest to tak łatwe — mówił Spinacz-Mars. Tu trzeba zacząć od abecadła, przede wszystkim wśród burżujów, nie tylko kapitalistów, ale też tak zwanej śmietanki inteligentnej. I streścić charakterystykę społeczeństwa łódzkiego.

— To pyszne! — zawołał Demagog. Grunt dziewczyc łatwiej uprawiać niż że zorywany (...)

— Egoizm, konserwatyzm, niuflowo spotykamy tu na każdym kroku! — skrzył się „Psiakrew”.

— Da się to wyplenić, gdy do dzieła gorąco się weźmiemy — zapewniał Martwiński. Budzić z uśpienia, budzić i jeszcze raz budzić! — wołał (...)

— Racja! — rzekł Tuman-Apollin.

— Mamy w planie założenie ochrony dla dzieci robotników — oświadczył Wrzeszcz.

— Wybornie! — potwierdził Martwiński”.

Scena ta pozostaje w zgodzie z wyżej cytowanymi wspomnieniami: mówi o tym, że właśnie „Latarnicy” zapoznawali Marchlewskiego z ówczesną sytuacją w Łodzi, jej nader skomplikowaną rzeczywistością; że on wnosil do ich działań nową siłę i rozmach. Najwcześniejsza to i dotąd nie zidentyfikowana próba przedstawienia postaci Marchlewskiego w utworze literackim.

Powieść Rowińskiego stanowi zatem wartościowy i interesujący dokument — jest próbą odzwierciedlenia atmosfery tamtych lat w oparciu o autentyczne wydarzenia, które wkomponował w stworzony przez siebie obraz ówczesnej Łodzi. Zinterpretował je nieco nawiąznie i w zgodzie z „duchem czasu”, lecz nie rozbiegał się zasadniczo z realiami, które w 1899 roku niewątpliwie jeszcze dostrzegł. Nadto autor „Julki” trafnie dostrzegł, że były to dla Łodzi lata przełomowe, rozpoczynające trwały już ferment w „niemowlecym dotąd — jak pisał — organizmie Łodzi”. Takim stwierdzeniem kończył swoją powieść: „W owym czasie Łódź zaczęła fermentować na dobre. Olim dział...”

Działalność „Latarników”, a przede wszystkim szeroko już zakrojona i socjalistycznie ukierunkowana praca ZRP wśród proletariatu fabrycznego doprowadziły do pierwszych manifestacji pierwszomajowych łódzkich robotników. Miały one miejsce w skromnej jeszcze formie w 1891 roku, ale już w następnym zaskoczyły młodych i zdumiały swoją siłą nawet działaczy ruchu robotniczego i przetrwały się w głośny „bunt łódzki” — pierwsze tak wielkie wystąpienie proletariatu na ziemiach polskich.

HELENA KARWACKA

„BYŁA MŁODOŚĆ Z PORYWAMI...”

OPISANIE MIASTA

Naczelnik dzielnicy zaczyna od tych ostatnich, bo sukcesy zawsze biorą się z trosk.

Największą troską Górnej jest woda, a właściwie: brak wody. Z 270 punktów dowozu wody w Łodzi, 220 mieści się na Górnej. Sieć wodociągowa nie sięga więc wielu rejonów dzielnicy — brak w tym zakresie zaspokajane są na razie przez poczwierne beczkowozy. Era beczkowozów powinna niedługo się skończyć. Ale nie od razu pojawi się woda w większości suchych posesji. Etapem przejściowym będą źródła uliczne. Władze dzielnicy wystąpiły o budowę takich źródeł na dwudziestu najbardziej zaniedbanych ulicach Górnej i Zjednoczenia. Gospodarki Komunalnej uznano realizację tego wniosku za konieczną i możliwą. Będą więc źródła na Przewodniej, Aleksandra, Finansowej, Śląskiej, Bankowej, Darniowej, Ruczajowej, Walecznych, Józefa, Kolumby, Rzgowskiej, Demokratycznej, Łuźnej, Osobliwej, Koszalińskiej, Pogorzel, Wędkarskiej, Mieszczańskiej i Powszechniej. Dla mieszkańców tych ulic jest to fakt o ogromnym znaczeniu, aczkolwiek na doprowadzenie wody do samych mieszkań będą musieli jeszcze poczekać.

Drugą troską jest kanalizacja. Istnieje dysproporcja pomiędzy budową sieci wodociągowej, na którą przeznaczają się zresztą 40 procent wszystkich nakładów w tym zakresie w mieście, a postępem robót kanalizacyjnych. Po prostu w gradacji potrzeb woda wydaje się sprawą pilniejszą. I tak, dla przykładu, w bieżącym roku zakłada się realistycznie budowę ponad dziesięciu kilometrów sieci wodociągowej i tylko niespełna trzech kilometrów sieci kanalizacyjnej. W związku z tym niektóre rejony Górnej będą jeszcze pod względem sanitarnym upośledzone — rynsztoki i szamba nie dodają dzielnicy uroku i nie ułatwiają życia ludziom. Wprawdzie zrobiono w tym względzie dużo: w stosunku do poprzedniej pięciolatki wykonane roboty są większe o ponad dwieście procent, a przyszła pięciolatka zakłada jeszcze ambitniejsze osiągnięcia. Pozostaje więc oparta na realnych przesłankach nadzieja.

Trzecią troską są drogi. Podobnie jak w powyższym przypadku, budowa nowych domów wydaje się pilniejszą potrzebą od budowy dróg. Do niedawna na 326 kilometrów dróg dzielnicy, aż 180 miało powierzchnię nie utwardzoną lub żwirowaną. Niektóre uliczki Rudy i Chojen były nieprzejezdne, dojazd do pracy był prawdziwą morderką. Ale zrobiono w tym zakresie dużo, plan został wykonany w 160 procentach. Przebudowuje się aktualnie nawierzchnię na al. Politechniki i poważne roboty podjęto (wspólnie z Widzewem) na granicznej ulicy Przyszewskiego, a także na ulicach: Pryncypalnej, Bławatnej, Płazowej, Popioły i Rzgowskiej w jej dalszym biegu. Plan na obecną pięciolatkę zakłada budowę 25 kilometrów twardej nawierzchni i porządknych chodników, ale biorąc pod uwagę ofiarność wielu zainteresowanych zakładów pracy, organizacji i indywidualnych mieszkańców, władze dzielnicy wierzą, że w czynnie społecznym, przy udziale różnych technik, wysyżkuje się około czterdziestu pięciu kilometrów zaniedbanych dotąd ulic.

Górna liczy również na czyn partyjny, który w ubiegłym roku przyniósł nadszpedzane rezultaty, a w tym rysuje się jeszcze ambitniej. Jest wiele frontów robót — budowa parkingów, wiat tramwajowych, chodników, porządkowanie terenów blokowych, ogródków jordanowskich i obiektów rekreacyjnych, a także prace na rzecz przedsiębiorstw budowlanych — w domach, które oddane będą w najbliższym czasie do użytku, brygady społeczne podejmą prace wykończeniowe jak mycie podłóg i okien, usuwanie gruzu i śmieci, porządkowanie trawników.

W siedemdziesiątym czwartym roku wartość czynów społecznych na Górnej wyniosła 46 milionów złotych, przy czym 6 milionów przypadało właśnie na czyn partyjny (11—12 maja). Wszystko wskazuje na to, że w bieżącym roku pułap ofiarności społecznej nie zostanie obniżony.

2.

Górna jest drugą co do wielkości dzielnicą Łodzi. Na obszarze 5262 hektarów mieszka ponad 207 tysięcy ludzi. Warunki mieszkaniowe są różne: parterowe domki, drewniane chałupki, czynszowe kamienice, no i bloki. Ze wstępnych obliczeń wynika,

że w nowych domach mieszka już około 60 procent ludności. Pozostali cierpią jeszcze niewygody — ciasnota, brak gazu, wody, kanalizacji i „ciepła”.

Pisałem kiedyś reportaż z budowy wiaduktu na Chojnach. Była to inwestycja konieczna i precedensowa dla zaniedbanej dzielnicy. Sugerowała istotne zmiany nie tylko w rejonach torów. I zmiany te nastąpiły. W okolicach Czerwonego Rynku i Dworca Chojny powstały dwa duże, wielotysięczne osiedla, pozwalające inaczej spojrzeć na rogatki miasta. Wyłom w

kwotę 100 milionów złotych. 20 milionów pochłonęła sama tylko ulica Franciszka. Na Kurczakach wszystkie ulice otrzymały twardą nawierzchnię. Warto dodać, że pobliskie Nowe Rokicie zdobyło tytuł Drugiego Osiedla Trzydziestolecia Łodzi. To się liczy. Tym bardziej, że front robót i prac porządkowych przenosi się coraz dalej, aż po granice Pabianic i Rzgowa.

Każdy zna Dąbrowę, osiedle preżne i ogromne, stanowiące jeden z najważniejszych kompleksów mieszkaniowych nie tylko w dzielnicy, ale i w całym mieście. Otóż powstaje teraz nowa część tego osiedla, tak zwana Dąbrowa Przemysłowa. Już dziś znajdują się tu trzy wielkie zakłady: Dywilań, Polanil

osiedlami. Są szkoły, w których dzieci muszą uczyć się na dwie zmiany, są żłobki zbyt oddalone od dzielnic mieszkaniowych. Słabo z gastronomią, co zaś się tyczy kultury, to lepiej nie mówić: pare małych kin, żadnego teatru, nie ma nawet dzielnicowego domu kultury — braki w tym zakresie zaspokajane są — powiedzmy — przez ośrodki przyzakładowe, a jakiego typu kultura forsowana jest w tych przybytkach, wszyscy dobrze wiemy.

3.

Górna nie jest dzielnicą upośledzoną pod względem terenów zielonych. Każdy łodzianin zna Młynek, Park 1

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SUKCESY I TROSKI



Zdjęcia wykonał Włodzimierz Pańsz

brudnej, czynszowej zabudowie szybko się rozprzestrzenia. W bliskiej przyszłości planuje się atak na ni to wiejskie ni miejskie tereny zatorza. Linia tramwajowa „18” zostanie przedłużona, ulica Rzgowska doczeka się chodników i asfaltowej nawierzchni, „zakręt śmierci” za cmentarzem ulegnie zniwelowaniu.

To samo można powiedzieć o terenach leżących za torami w rejonach Rudy. Budowane jest obecnie osiedle Kurak B. Tereny Starego i Nowego Rokicia, będące do niedawna przedmiotem ataków prasy i nieprzerwanych utyskiwań mieszkańców, zmieniły się nie do poznania. Bloki, komunikacja, sklepy — wszystko to dotarło wreszcie do przedmiejskich dzielnic. Stare, jakie zrobiło w ostatnich latach większy skok niż w całym trzydziściolciu. Nakłady inwestycyjne przekraczają

i Bistona. W perspektywnych planach ma tu być przerzucony cały ciężki przemysł Łodzi, tak, aby oddzielić trochę rejonu śródmiejskiego. W bieżącym roku oddana zostanie tutaj do użytku duża, pomyslna „przyszłościowo” przychodnia przemysłowa.

Każdego roku Górna wzbogaca się o nowe domy, szkoły, żłobki, a także sklepy i punkty usługowe. W bieżącym roku w okolicach Dworca Chojny zaczęła funkcjonować trzy supersam. Przy ulicy Piotra Skargi, niedaleko Motozbytu, powstał wreszcie po długich i ciężkich cierpieniach pawilon rzemiosła, świadczący usługi w wielu różnych dziedzinach. Przy Felczyńskiego ruszy jeszcze w tym roku wielki zakład pralniczy. Nie zmienia to faktu, że dzielnica długo jeszcze borykać się będzie z rozmaitymi trudnościami. Usługi, kultura, komunikacja nie zawsze nadążają za nowymi

Maja, czy Stawy Jana, które w sezonie letnim są bez wątpienia największym i najatrakcyjniejszym naszym kąpieliskiem. Staraniem władz miejskich i dzielnicowych obszary te zostaną wyposażone w dalsze obiekty rekreacyjne, kulturalne i gastronomiczne tak, aby ściągały tu tysiącami w wolne dni ludzie mogli rzeczywiście rozzerwać się i wypocząć. W bieżącym roku zostanie również uporządkowany Park Sielanka — doczeka się asfaltowych dróg, terenów zabaw dla dzieci i pawilonów gastronomicznych.

Wielką bolączką Łodzi jest od dawna brak jakiegokolwiek terenów do uprawiania sportów zimowych. Pół biedy z lodowiskami, które wylewa się na podwórkach szkolnych, w parkach i na nie zabudowanych jeszcze placach. Jest także kilka hał sportowych, gdzie lodowiska sztuczne cieszą się nadmierną frekwencją. Ale sporty zimowe nie

ograniczają się do lodowisk, a więc jazdy na łyżwach. Jest w Łodzi wielu miłośników narciarstwa i saneczkarstwa. Właśnie oni cierpią najbardziej. Nie każdego stać na wypad do Zakopanego czy Karpacza. Nie każdy ma czas i zdrowie tłuc się z dziećmi po cięgiem do Smardzewa. Jeszcze w tamtym roku olbrzymim powodzeniem cieszyła się tysia, niewielka góra w śródmiejskim parku Poniatowskiego — w każde niedzielne przedpołudnie, pośród niebawego tłoku i pisku starzy i młodzi zażywali tam przyjemności zjeżdżania na leśną szczyt z wyboistej, samobójczej stromizny na butach, łyżwach, sankach, nartach i w ogóle wszystkim, co zapewnia jakiś poślizg. Górka ta nie zawsze zresztą otwarta była dla ludzi. Niekiedy broniły jej surowo brzące tablice z napisami, że pod odpowiedzialnością sądową zabrania się: „plazować, bawić, biegać, grać w piłkę, ślizgać, spacerować z psami i flirtować z dziewczynami”. Potem przyszedł czas, kiedy zakazy zostały cofnięte, tablice obwieścili, że jest to właśnie teren gier i zabaw sportowych. Radość jednak trwała krótko. Obecnie nie ma już ani tej górki ani drzew, trasa tędy pobiegł Wschód—Zachód, inwestycja niewątpliwie ważna, priorytetowa.

Łódzkie dzieciaki mogą tylko ślizgać się po płaskim. Każdy dwumetrowy nasyp w śródmieściu, każdy trzymetrowy pagórek pokryty śniegiem, spełnia funkcję Kasprowego Wierchu. W tej sytuacji cała nadzieja spoczywa na Rudzkiej Górze, która jest przecież najwyższym „szczytem” w mieście. Nie wykorzystany dotąd był to „szczyt”, ale — jak zapewniają władze dzielnicy — stan ten ulegnie zmianie. Właśnie sporty zimowe — narciarstwo i saneczkarstwo — zapanują tu w najbliższą zimę. Góra zostanie wyrównana, podwyższona, wyposażona w tory zjazdowe i inne, umiające czas urządzenia. Będzie można ślizgać się bezpiecznie i bez ograniczeń, co naprawdę też nie jest w życiu osiemset-tysięcznego miasta faktem bez znaczenia.

Podobnie jak w przypadku inwestycji „ważnych”, tak i w budowie obiektów „rozrywkowych” wielki jest udział społeczeństwa Górnej. Przy budowie stadionu „Tęczy” wartości prac społecznych szacuje się na około piętnaście milionów złotych.

Dzielnica doczeka się sztucznego basenu i motodromu. Staraniem Chojńskiego Klubu Sportowego, Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej i Zjednoczenia Budownictwa Komunalnego Górna doczeka się ogromnej hali sportowej — już dzisiaj wiadomo, że właśnie tu zorganizowany zostanie międzynarodowy turniej siatkarzy i że z czasem obiektowi temu przyjdzie gościć wielu sławnych sportowców świata.

4.

Reasumując: Górna jest dzielnicą wielkich zmian. Poza Bałutami — właśnie tu robi się najwięcej, dzięki czemu wciąż poszerzają się rzeczywiste granice Łodzi. Kiedy budowano EC-II, wydawało się, że są to rubieże miasta; dzisiaj elektrociepłownia jest w samym centrum Łodzi, poza nią piętrzą się nowe dzielnice. Będzie ich coraz więcej: znikną powoli źródła uliczne, rynsztoki, szamba, drewniane chałupki i czynszowe kamienice. Tereny za torami zostaną uzbudowane. W najbliższej pięciolatce, a więc od roku 1977, rozpocznie się w Rudzie budowę osiedla Beczkowa (ech, te nazwy!) dla dziesięciu tysięcy mieszkańców, planuje się także budowę osiedla Kurczaki dla czterdziestu tysięcy mieszkańców. Ruszy budownictwo indywidualne (domki jednorodzinne), władze przyrzekają, że za nowymi osiedlami nadążą jakość kultura, gastronomia, komunikacja, szkoły, żłobki, magazyny itp. Powstanie nowoczesne kino i dzielnicowy dom kultury; ludzie będą mieli gdzie odetchnąć po pracy.

Nielatwo przyszło zmienić oblicze Górnej. A przecież z każdym rokiem kurczy się enklawy. Sławetna ulica Obywatelska, zmora MO i spokojnych obywateli, została w całości zburzona. Nie ma już Czerwonego Rynku, targowisko przy Placu Niepodległości też zmieniło charakter, otoczone potężnymi nowoczesnymi gmachami.

Są na Górnej ludzie, którzy mają jeszcze autentyczne prawo do narzekania. Ale nadzieja jest silniejsza od zwątpień. Ludzie niecierpią się, ale wierzą, dręczą ich troski, ale — jako się rzekło — bez trosk nie ma sukcesów.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Z WŁADYSŁAWEM RYMKIEWICZEM

rozmawia — Jerzy Rzymowski.

— Pana obfity i zróżnicowany pod względem tematycznym dorobek literacki skłania do rozważenia wielu problemów społecznych, psychologicznych, moralnych, czy choćby czysto warsztatowych. Na ogarnięcie całości tych spraw trzeba by chyba długiej konferencji. Zamiast szczegółowego przeglądu Pana twórczości przyjrzyjmy się może jej podstawom, temu co jest wspólne dla owej całości, a więc: początkom, metodzie pracy, źródłom inspiracji, poglądom na literaturę. Proponuję wyprawę w przeszłość, ku okolicznościom, w jakich stał się Pan pisarzem.

— W latach pierwszej wojny światowej chodziłem do szkoły, gdzie kolegą moim i przyjaciąłem bliskim był syn aktora — Antoniego Różańskiego. Antoni Różański to był aktor Teatru Rozmaitości (obecnego Teatru Narodowego), kiedyś aktor łódzki, którego Adam Grzymała-Siedlecki w swoich wspomnieniach nazwał „niezłotym aktorem”. Syn jego, Czesław, młody, siedemnastoletni chłopak odznaczał się wybitnym talentem i mimo, że nie uprawiał aktorstwa zawodowo, umieszczony został w „Słowniku aktorstwa polskiego”, co daje Panu miarę tego, kim był. Zmarł tragicznie, w wieku lat dwudziestu, na scenie teatru amatorskiego grając w adaptacji „Kaski Karłatydy”, dokonanej przez samą Zapolską. Odtwarzał rolę niemowy; z tekstu wynikało, że jest on zrzucany z rusztowania, na którym stała ta rzeźba. Raz tak został nieszczęśliwie zrzucony, że doznał wstrząsu mózgu. Na amatorskie przedstawienia w szkole przychodzili nauczyciele i uczniowie z innych szkół, żeby go podziwiać.

Otóż ja, zresztą biorąc także udział w tych spektaklach, byłem częstym gościem u Różańskich i tam spotykałem się zarówno z aktorami scen warszawskich, jak również z ludźmi, związanymi z humanistyką, literaturą, dziennikarstwem. I to były właśnie moje pierwsze początki. Zaczęliśmy wówczas wydawać miesięcznik „Młódzież”. To środowisko w którym wówczas przebywałem, było środowiskiem inteligentnym (i to inteligentnym, bo o aktorach nie zawsze to można było powiedzieć). Tam właściwie nauczyłem się wielu rzeczy, przydatnych w późniejszej pracy. Chciałem zostać aktorem, ale rodzice nie zgodzili się i w efekcie poszedłem na prawo.

Właściwie takie ściśle pisarskie początki, pierwociny twórcze i w ogóle, że tak powiem, mój élan vital w tym kierunku zrodziły się za sprawą nauczycieli, którzy zwrócili uwagę na pewną niezwykłość moich wypracowań polonistycznych. Ponadto przypadek chciał, że poznałem starszą panią, nauczycielkę języka francuskiego, która miała dobre wykształcenie, bo ukończyła Sorbonę, i ona też się jakoś mną zainteresowała, czemu zawdzięczałem znajomość języka francuskiego oraz wielu spraw związanych z ogólną historią literatury i kultury francuskiej.

Wtedy też wniknąłem w sfery literackie. Moim przyjacielem był Czesław Straszewicz, Mortkowiczowie; no i bardzo bliska znajomość (nie powiem zażyła, ale jednak bliska) z Kadenem Bandrowskim dała mi bardzo dużo, podobnie jak kontakty z Irzyńskim, Marią Dąbrowską i Zofią Nalkowską.

— Pierwszym drukowanym utworem Pana była nowela „Zdrada”, za którą otrzymał Pan pierwszą nagrodę w konkursie Koła Polonistów UW w 1925 roku.

— Tak, warto tu może wspomnieć, że konkursowi temu patronował prof. Józef Ujejski, u którego ja — po ukończeniu wydziału prawnego — pisałem pracę seminaryjną o wierszu Asnyka „Mojemu rodzinemu miastu” (to jest o Kaliszu). Dostałem za nią piątkę minus, a to dlatego, że się raz powolałem na jakieś „niepoważne źródło”, mianowicie „Słownik wyrazów obcych” Arcta. To mnie zachęciło do pracy, ale — niestety — potem zawód nie pozwolił mi na kontynuowanie tych studiów.

Te moje początki były bardzo miżerne. Wtedy oceniałem je niewysoko i teraz również nisko je oceniam. Do 1939 roku łączyłem zawód adwokata z pracą pisarską. Z takich połączeń prawie nigdy nie dobrego być nie może; trzeba się było zdecydować albo na jedno, albo na drugie. Warunki materialne jednak uniemożliwiały mi poświęcenie się wyłącznie twórczości literackiej. Z drugiej strony praca w środowisku palestry, kontakty z klientami — to wszystko byłoby dobrym materiałem obserwacyjnym, który niewątpliwie znalazł nie tylko wtedy, ale przypuszczam, że i później, jakiś wyraz w mojej prozie.

— W okresie międzywojennym była to głównie proza psychologiczna, zorientowana też na obserwację obyczajów środowiskowych, rozważania moralne. Natomiast w czasach późniejszych górę wzięły zainteresowania historią, polityką, sporami ideologicznymi. Zrazu zresztą była to historia

ujęta popularnie, potem jednak powstał cykl powieści ograniający spory odcinek naszych dziejów od powstania styczniowego po zryw niepodległościowy w latach pierwszej wojny światowej, odcinek przebiegający przez region łódzki. Przy refleksji nad tego typu beletrystyką zawsze szczególnie frapuje pytanie o koegzystencję fikcji i faktów. W jaki sposób korzystał Pan ze źródeł i z ustaleń nauki?

WARTOŚCIOWAĆ PIERWSZY OBOWIĄZEK PISARZA



W roku bieżącym Władysław Rymkiewicz obchodzi podwójny jubileusz: 75 rocznicę urodzin i 50-lecie pracy pisarskiej. Urodził się bowiem 17 maja 1900 roku w Kaliszu, a jesienią 1925 roku debiutował na łamach „Bluszczy” nowelą „Zdrada”, nagrodzoną w konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1926 „Wiadomości Literackie” zamieściły opowiadanie „Wiesław i Gladys”, również uprzednio obdarzone pierwszą nagrodą w konkursie, ogłoszonym przez to czasopismo.

W 1929 roku ukazała się pierwsza książka Rymkiewicza — „Pan swego życia”, a w latach następnych „Prawo do miłości” (1931), „Eksmisja” (1933) oraz fragmenty „Ludzi bez jutra”, publikowane w prasie, a poprzedzające o siedem lat powojenną edycję książkową tej powieści w roku 1946. Na okres międzywojenny przypadają też pierwsze próby dramatopisarskie („Kryształowy

— W wielu wypadkach docierałem do interesujących źródeł zupełnie przypadkowo, choć oczywiście z reguły zmuszanie penetrowałem fachową literaturę przedmiotu. Nie będę mówił o zbieraniu materiałów, bo to jest może nudne i mniej zajmujące. Chciałbym wszelako zademonstrować ten etap pracy na kilku ciekawych przykładach. Np. jeśli chodzi o „Trzystu pod Dobrą”, no cóż, to nie jest dobra powieść, ale ma ona niezłe podłoże dokumentalne. Przygotowując się do pisania tego utworu operowałem się m. in. na dużym artykule historyka Manikowskiego „Powstanie styczniowe 1863—1864 w powiecie łęczyńskim”. Praca ta opisuje konflikt między „białymi” i „czerwonymi” na terenie ziemi łódzkiej. Przedstawicielem „czerwonych” był dzierżawca folwarku Zabieniec pod Łodzią — Sawicki, a znaczną osobistością wśród „białych” — doktor Dworzaczek, lekarz szpitala w Łęczycy. Sawicki, jakkolwiek ciwierzinteligent, posiadał smykałkę wojskową i oddział składający się z trzystu powstańców, doprowadził do takiego stanu wyekwipowania i przygotowania militarnego, że był to oddział, który mógł odegrać po-

ważną rolę w powstaniu. Naraził się „białym”, bo wychodził z założenia, że wszyscy powinni ponieść okup z krwi i mienia dla uzyskania niepodległości i w bezwzględny sposób dokonywał rekwizycji u ziemian. I rzeczywiście zaopatrzył swój oddział doskonale w konie, kołuchy, umundowanie, broń itp. Bezwzględne rekwizycje, jakie przeprowadzał we dworach, wywoływały protest ze strony „białych”. Ponieważ dowództwo okręgu mieściło się w Kaliszu, „białymi” odwołali się tam i Kalisz, jakbyśmy to dziś powiedzieli, „zdał” Sawickiego i wyznaczył na jego miejsce Dworzaczka. Dworzaczek był człowiekiem dobrej woli, ale był

człowiek, sztuka nagrodzona przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach w roku 1937), później zresztą kontynuowane na poboczu obfitej twórczości prozatorskiej, by wspomnieć sztukę sceniczną „Konsul”, w 1963 roku nagrodzoną w konkursie Teatru „Ateneum”.

Aczkolwiek już wówczas poszczególne utwory tego pisarza uzyskiwały pozytywne oceny, to jednak obecną pozycję literacką zapewniły Rymkiewiczowi tomy prozy, napisane w Polsce Ludowej: „Rafał z lasu” (1946), „Raj utracony” (t. 1—2, 1947), „Ziemia wyzwolona” (1951), „Ryccerze i elury” (1953, czwarte — 1956), „Noc saska” (1956, 1959), „Dworzaczek i Pan Morsztyn” (1957), „Carewicz na ulicach Krakowa” (1959), „Roman królowski” (1961, czwarte — 1970), „Ucieczka z ziemi obiecanej” (1961), „Trzystu pod Dobrą” (1963, 1965), „Konferencja u mecenasów” (1964), „Widok z Księgę Młyn” (1966), „Czas pojedna, trawa porośnie” (1969, 1973), „Portret królowej” (1971), „Wtajemniczenie” (1974).

Dodajmy, że w różnych stadiach realizacji znajdują się następne powieści o czym poinformował nas autor podczas rozmowy, przeprowadzonej dla Czytelników „Odgłosów” z okazji tegorocznego jubileuszu. Zastaliśmy pisarza w twórczym nastroju, pracującego wśród notatek, wyciągów lekturowych, książek. W tym naturalnym dla humanisty otoczeniu rozmawialiśmy o pierwszych inicjacjach literackich Władysława Rymkiewicza, o źródłach i kulisach jego twórczości, planach na najbliższą przyszłość, a także o tradycjach naszego miasta, o heroicznych kartach historii i przemianach społeczno-kulturalnych, którym autor „Trzystu pod Dobrą”, „Widoku z Księgę Młyn” i „Wtajemniczenia” poświęcił najwartościowsze partie swego dorobku pisarskiego.

Publikując obszerne fragmenty tej rozmowy składamy Władysławowi Rymkiewiczowi najserdeczniejsze życzenia dobrego zdrowia i wielu spokojnych lat twórczej pracy literackiej.

nerwowo, a nawet tchórzliwy. W czasie bitwy pod Dobrą, którą powstańcy mogli wygrać, ponieważ wojska carskie szły z terenu otwartego, a powstańcy byli doskonale ukryci w gęstym lesie. Dworzaczek nie wytrzymał nerwowo, uciekł z placu boju, no i skutek był ten, że oczywiście, jak dowódca wieje, to panika wkrada się w szeregi — bitwa została w końcu przegrana z wielkimi stratami. Otóż mówię o tym dlatego, że ten artykuł był w pewnym sensie rewelacją. O tym mógł może wiedzieć krewny Dworzaczka, którego nazwiska w tej chwili nie przypominam sobie, a któremu zależało na utrzymaniu mitu o bohaterstwie Dworzaczka, bo dodać należy, iż Dworzaczek zesłany na Syberię, wstawił się udziałem w buncie katorżników w kopalni złota, w ten sposób zrehabilitował się za awanturę łódzką. Wykorzystywanie tego typu materiałów daje niekiedy bardzo dobre oparcie w pracy nad powieścią historyczną i jest jednocześnie dla pisarza źródłem pewnych satysfakcji, zwłaszcza jeśli operuje materiałem mało znanym.

Pisząc z koleją „Widok z Księgę Młyn” opierałem się na studium

Zygmunta Gostkowskiego o historii „Dziennika Łódzkiego” od 1884 do 1892 roku i na Adama Próchnika „Buncie łódzkim 1892 r.” Oczywiście, są to podstawowe książki; poza nimi szukałem realiów epoki w setkach innych źródeł i teraz nawet nie potrafiłbym pełnego rejestru wykorzystanych źródeł wymienić. Z powieścią tą wiąże się też ciekawa sprawa. Otóż głównym bohaterem tej książki jest Henryk Elzenberg, adwokat warszawski, który po opuszczeniu stolicy został radcą prawnym Scheiblera. Miał wielkie zamiłowania literackie, prowadził korespondencję z Orzeszkową, która go bardzo wysoko ceniła. Z jednej strony jako ów radca prawni Scheiblera uzależniony i związany był z kapitalistą, z drugiej zaś strony widział niesłychany, dziś dla nas niepojęty nawet wyższy proletariatu przez tegoż fabrykanta. Ponieważ Elzenberg nastawiony był radykalnie, przeżywał silnie rozdarcie wewnętrzne.

I ono mnie najbardziej zafrapowało, podobnie jak kryzys bohatera następnej powieści z dziejów walk rewolucyjnych w Łodzi — „Czas pojedna, trawa porośnie”. Pod zmienionym nazwiskiem występuje w niej działacz Socjaldemokracji Stanisław Pestkowski, który był synem ziemiańskim. W tym czasie PPS stała na stanowisku, że należy stosować terror w stosunku do zaborcy, natomiast socjaldemokracja była temu przeciwna i uważała, że dla uniknięcia ofiar w ludziach wysuwać należy przede wszystkim postulaty natury ekonomicznej. Wojnicz (czyli Pestkowski) nie zgadzał się z tym poglądem, toteż był podejrzewany w swej partii o, jakby można powiedzieć, prawicowe odchylenie. Prototypami obydwu postaci literackich były więc ludzie autentyczni, których wizerunki duchowe rekonstruowałem jednak nie tylko na podstawie dokumentów i przekazów źródłowych, ale także po części posiłkowałem się własnymi przeżyciami. „Czas pojedna, trawa porośnie” jest w mojej twórczości powieścią chyba najbardziej autentyczną, bliską mi problemowo i duchowo.

— Kiedy tę powieść czytałem, widziałem w niej jakiś sztyr, ale nie tyle może autobiograficzny, bo ten odczytać można tylko przy znakomitej znajomości biografii autora, lecz raczej zapis literacki ogólniejszej sytuacji. Skoljarzeń, nawet historycznie odległych, może być tu istotnie wiele i ta pojemność znaczeniowa — moim zdaniem — podnosi rangę tej powieści. Czy w tych właśnie walorach tematu widzieć należy przyczynę, jak Pan to określił niedawno w jednym z wywiadów prasowych, „prawdziwej fascynacji” dziejami łódzkich walk rewolucyjnych?

— Kiedy zapoznaliśmy się bliżej z tym tematem, doszedłem do wniosku, że jest to niezwykle ciekawy materiał literacki. Wydaje mi się bowiem, że nie będzie zbyt ryzykowne twierdzić, że ani na ziemi warszawskiej, ani w innych rejonach zaboru rosyjskiego zmagania proletariatu z kapitalizmem (jak i wcześniej powstanie styczniowe) nie przebiegały tak dramatycznie, jak u nas.

Jeśli chodzi np. o bunt łódzki 1892 roku, spotykamy wówczas dwie kapitalne postaci Antoniego Humnickiego i Ludwika Krasuskiego, którzy poszli na tzw. ekonomizm, przerwali strasami poniesionymi przez ruch rewolucyjny za czasów Waryńskiego. Tymczasem ów ekonomizm, przejawiający się w wysuwaniu jedynie żądań gospodarczych: poprawy warunków pracy i płacy, ulg społecznych itp. spotkał się z bardzo silnym oporem ze strony robotników. Owi działacze byli niepopularni, ponieważ masy chciały czegoś więcej, miały szersze aspiracje polityczne. Tego rodzaju skomplikowanych i dramatycznych spięć było w tym naszym potężnym okręgu przemysłowym nieporównanie więcej, niż w innych częściach kraju. I to mnie zafascynowało. Poza tym trzeba pamiętać, że był to teren złożony pod względem narodowościowo-wyznaniowym.

— Przypada Pan jednak, że ten temat, tak atrakcyjny z racji bogactwa konfliktów, a choćby i ze względu na koloryt obyczajowy, nieczęsto pojawia się we współczesnej literaturze polskiej. Ma on swoich klasyków, jak choćby Andrzej Struga, który ruch socjalistyczny i rewolucję 1905 roku znał z autopsji, wymienić można wiele prób pisarskich podejmowanych „na gorąco”, jednym słowem, wówczas temat ten był obecny, mobilizował powieści i oszczerców rewolucji. Jakże Pan widzi możliwości dalszej penetracji tej problematyki?

— Możliwość i szanse są jeszcze duże. Trzeba jednak bliżej się z tym zapoznać, przeprowadzić nieraz specjalistyczne studia, by odnaleźć poruszające nas sprawy i odpowiedni materiał fabularny. Dużo ciekawych rzeczy działa się też w Łodzi zaraz na początku II Rzeczypospolitej. Przecież tutaj wrzalo. Nie umiem sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego teraz mniej to mnie interesuje niż niegdyś. „Wtajemniczenie”, które na razie jest ostatnią częścią tego luźnego cyklu powieści historycznych, być może

nie doczeka się kontynuacji, choćby dlatego, że nie ma dobrych materiałów np. do okresu II wojny światowej w Łodzi. A poza tym może jestem trochę już przesycony i zmęczony sprawami społecznymi, polityką, historią.

— Czyżby więc powrót do bardziej kameralnej, psychologicznej tematyki?

— Tak, niedługo ukaże się nakładem „Czytelnika” moja powieść „Chłodne spojrzenie”, najgłębiej związana z moimi wspomnieniami, a wspomnienia są zawsze dobrym materiałem do powieści. Rzecz dzieje się w środowisku aktorskim, będzie tam owa historia Różańskich, o której mówiłem na początku. Długo zwlekałem z tym tematem, bo zagrażał niebezpieczeństwem melodramatu.

— Mówił Pan o inspirującej roli środowisk inteligentnych, zna Pan jednak również środowisko robotnicze, penetrował je Pan swego czasu jako stypendysta CRZZ, spotyka się z robotnikami podczas wieczorów autorskich, a przez wiele lat zajmował się Pan dziejami łódzkiego proletariatu. Jakie doświadczenia i spostrzeżenia wyniósł Pan z tych kontaktów i porównań historycznych i co z nich wynika dla pisarza i w ogóle dla ludzi kultury?

— Są kolosalne zmiany na korzyść czasów współczesnych. Właściwie nie ma żadnego porównania z tamtą epoką. Z moich doświadczeń przedwojennych odniosłem wrażenie, że klasa robotnicza, poza jej przywódcami i aktywistami, czyli ludźmi, którzy z natury rzeczy byli dobrze zorientowani w polityce i w prądach kulturalnych, była znacznie mniej zaktywizowana niż współczesna klasa robotnicza. Dzisiaj rozmowa pisarza z robotnikiem jest pożyteczna i zajmująca dla obydwu rozmówców. Pamiętam, że byłem przed wojną trzy, cztery razy w Paryżu i tam tak się składało szczęśliwie, że poza kontaktami z inteligencją, miałem również kontakty z robotnikami. Byłem wówczas zdumiony ich uświadomieniem politycznym, orientacją nie tylko w sprawach francuskich, ale i szerszych, także polskich. Jednym słowem, poziom kulturalny i poziom wykształcenia politycznego robotnika francuskiego wydawał mi się bez porównania wyższy od poziomu ówczesnego naszego robotnika, mało zaktywizowanego, dręczonego bezrobociem, walczącego ciężko o utrzymanie się, mieszkającego niehigienicznie itp.

Postęp jest więc ogromny, ale też na tle tego dynamicznego rozwoju widać, że te formy kultury, które docierają najszerszej, a więc tzw. kultury masowej, są chyba nie wystarczające. Wydaje mi się, że sama klasa robotnicza ma większe wymagania i że jej oczekiwaniami kulturalnymi nie zawsze są zaspokajane na odpowiednim poziomie. Doceniają znaczenie radia i telewizji w niewątpliwym rozbudzeniu zainteresowań kulturalnych, z pewnym zaniepokojeniem dostrzegam, że wszystko to jest po prostu zbyt łatwe. Przystawianie kultury powinno się dokonywać z pewnym wysiłkiem, inaczej nie doskonalą człowieka, nie zapada zbyt głęboko w jego świadomość, nie wywołuje choćby jakichś wewnętrznych sprzeczności, rozterek, dyskusji, a to wszystko jest warunkiem prawidłowego rozwoju duchowego ku wartościowym postawom estetycznym, intelektualnym, czy moralnym.

— Na zakończenie radbym ustyszczyć od Pana, jako jednego z seniorów literatury polskiej, co ze swoich doświadczeń życiowych, z nauk, jakich półwiecze służby pisarskiej Panu udzieliło, chciałby Pan przekazać młodej generacji twórców?

— Pytanie to intuicyjnie trafia w moje aktualne przemyślenia twórcze. Piszę właśnie książkę dla „Czytelnika”, której bohaterem jest pisarz. Bodźcem do tej pracy stało się m. in. wyzwanie Rogera Cailloisa, które spotkałem w jego książce „Żywił i ład”, a które dotyczy sprawy tzw. Klubu Socjologicznego, założonego przed wojną we Francji przez kilku pisarzy dla umocnienia więzi społecznej, ich zdaniami silnie w naszych czasach nadwziewanej. Otóż bohaterem będzie pisarz, któremu z różnych względów takiego „klubu socjologicznego” nie udało się stworzyć. Mam już nawet tytuł — „Sceny z życia pisarza”. Pod koniec tej powieści będzie scena rozmowy starszego pisarza z młodym adeptem, który do niego przychodził po rady. On mówi mu mniej więcej tak. Pisarstwo jest bardzo ciężkim zawodem, narażającym na szereg bolesnych konfliktów, choćby wewnątrz samego środowiska literackiego. Zapytywał młodego pisarza, czy ma on dostateczne wyciszenie dobra i zła w życiu człowieka. Pisarz powinien być bardzo uważliwym zarówno na to, co nazywamy dobrem, jak i na to, co nazywamy złem. Więcej — pisarz powinien tego doświadczyć. To jest jakaś manichejska historia, niewątpliwie.

— Czyli nie tylko nie powinien uchylać się od wartościowania moralnego, ale jest ono jego pierwszym obowiązkiem.

— Tak, choć nie jest to łatwe zadanie i życiowo wygodne.

LITERATURA

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

IDZIE POCHÓD ULICAMI ŚWIATA

Idzie pochód ulicami świata.
Nowe czasy skrzę się na sztafardach.

Samoloty lecą i gołębie.
Trąbi wiatr. A słońce złoci czerwień.

Szumią flagi na domach i mostach.
Idzie pochód, a z pochodem wiosna.

W ruchu kół i w ruchu ludzkich kroków
Pora nowa jest i pora roku.

Ci, co dziejów zmienili zwrotnicę,
w wielkim marszu idą przez stolicę:

twórcy wszystkich użytecznych rzeczy,
dróg i mostów, i parków słonecznych,

twórcy poematów i symfonii,
ludzie elektrowni i stalowni,

ci, co czyszczą szkła w latarniach portów,
ludzie sztuki i ludzie transportu.

Tak przez ziemię idą nowe dzieje.
Z każdym rokiem pochód ogromnieje.

Grzeją ręce ludy ciemnione
jak przy ogniu przy fladze czerwonej

i prostują się zdrętwiałe palce,
i znów moce są, i służą walce.

A ci, których wróg w serce ugodził,
także z nami idą w tym pochodzie.

Niesmiertelni. Idą. W naszym kraju
nowe wraza już w treść obyczajów,

prosto mówi do człowieka człowiek,
wspólną mową na wspólnej budowie.

O prawdziwym świecie myśl prawdziwa
przydeptane światło wydobywa;

w nałot rzymskich, cyceńskich piasków
źródło bije żywe, pełne blasku;

jeszcze chwila, świat ścisną w objęciach
nasze nowe poetyckie narzędzia,

wykujemy je, sztuce oddamy.
My je w wielkim trudzie wykuwamy.

Ciężarówki wiozą resztki gruzu.
Rzeczywistość — ta jest naszą muzą.

Pochód w jutro wchodzi. Tak się wchodzi
w dom przestronny, w dom szczęśliwych ludzi.

WITOLD WANDURSKI

OD PÓŁNOCY DO ŚWITU

(fragmenty)

Iść — iść — iść ulicami
sam
na Karolew — i dalej.
Tam
gdzie się kończy Karolew
za drewnianymi domkami
pole.
a prawo — lukowych lamp żyrandole:
Dworzec Kaliski.
Na lewo — noc
Staw pusty, martwy i śliski.
A dalej, kolejowe tory.
Dwa semafor
na czele.
A na papierze welinowym nieba — telegraficzny drut.
Iść — iść — przez dzikie pole —
z powrotem.
Iść przez Karolew
do miasta
gdzie geometria wykreśla tkalni — apretur — przedziałni
z waty przedświata wyrasta
i przypomina:
Nie jesteś, człowieku, sam — nie jesteś sam
Minarety
zamorusane kaminy
budzą się z wolna i kadzą dymu obłoki
Meczety
czerwone bloki
tkalni — apretur — przedziałni
rozwarły podwoje bram.
Organy maszyn, ukryte w gorącej parze
grają hymn pracy.
Migają koła ruchomych ołtarzy.
Wracaj!
Za pół godziny
zanucą pieśń muezyny
syreny fabryk
i wierni — robotnicy i robotnice —
z Karolewa — Pańskiej — Rodwańskiej
wyjdą na ciche ulice
niewyspani, lecz mądrzy i prości.
Idą
radosny i prosty
za nimi.

1922

(z tomu „Sadze i złoto”, 1925)



Rysunki: A. UDOROWIECKIEGO

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

POCHÓD

Trotuarów wyschle gardziele pożerały kapiące gorąco,
rozżarzone słońca kawały upadły z łoskotem na dach.
Tłum nadchodził. Tłum w niebo urastał. Parł. Łokciami ulice
roztęczał.
Uciekały, dzwoniły tramwaje. Szywno, rzędem za gnochem
szedł gmach.

Rozkwitały niebiosy jak oczy. Oczy kwitły niebiesko jak chabry.
Dygające serca huczały, pokłębione w okrzyki i szpazm.
Wiatrem ulic — ptaki-chorągwie. Wiatrem ulic — dymy od
fabryk.
Zył błękitnych w pięściach napięcie. Kołysanie. Łbów taran o
glaz.

Triumfalne łuki wiaduktów napinały ciężki rozpedu.
W czaszkach rosły kopuły bazylik. milionkróć ogromniejsze niż
Rzym
Piersi nagie — ryczące baterie, rozpalone wybuchów obłędem.
Pieśni w krew owinięte jak w sztandar. Sztandar w płomieni
zatknięty i w dym.

Rozjuszony kłęby centaurów, reflektory palących płomieni
ławą czarną buchaly na miasto, przewalały niebiosy przez bruk.
Błady oczy ogromne błękitu, przerażone, ośleple czerwienią.
Pęczniał wulkan serc dygających, głów płonących, pięści i nóg.
(z tomu „Wiatrak”, 1925)

Było temu lat piętnaście...
Była młodość z porywami! Orle skrzydła, bezmiar pragnień,
wiary w siły i nadziei, i ogromna w młodym sercu chęć do
pracy dla idei.

Wychowała nas Warszawa: stara macierz, dobra macierz!
Uczył kochać, czuć i myśleć jej pamiętek święty pacierz;
do głowny miód przekonów kładła skrzętna książka-pszczołka,
a do czynu, do „roboty” zaprawiała kółka, kółka...

Było kółek co niemiara, różnej barwy i odcienia. Trzech ber-
beciów z drugiej klasy — już się bierze do zrzeczenia; już go-
towa konspiracja, w turnisterku szkolnym skryta...

Młodzień czyta Mickiewicza, i Spancera także czyta; czasem
Lassal wpadł do reki, lub za serce Liebknecht chwycił...

W wyższej klasie kilku nawet znało Marksa i... „Kapitał”.
Wszyscy jednak: starsi, młodszy, skosztowawszy tego chleba,
przetrawili jedno hasło, że coś w życiu „robić” trzeba; że są
pono wyższe enoty nad kariery złota enoty!

No i garsika z ławy szkolnej poszła w życie — na „robotę”.
Poszła na wieś nieść pod strzechę nieklamanej karm
oświaty; do miast weszła, gdzie zgrzytami mówią kotły i war-
szaty, i dotarła do podziemi, gdzie a tona skały twardej ude-
rzała oiersi ludzkie, erzmia kilofy i oskardy.

Wzięła z sobą młodość, zapal, wiarę w tryumf swego dzieła
— cały impet poświęcenia...
Weszła w wir i... utonęła.

Przeminięły dwa, trzy lata... a na fali cisza głucha.
Raz po raz gdzieś tam tylko coś się pieni, coś wybucha.
— I znów cisza...

Czasem bąka na powierzchnię się zabieli.
Ktoś wypuścił dech osiatli, tamten ustat, tego „wzieli”. Inny
wyparł się sztandaru i wypłynął nad odmętami; piaty został
dyrektorem a dziesiąty... prokurentem!

Mnie los rzucił na bruk szary, do wielkiego fabryk miasta,
co testacem thów dymiaczych, jak czerwony las wyrasta i milio-
nem wre warsztatów, i w kotłowni swej olbrzymiej od rozżaru
do wieczora warczy, zgrzyta, huczy, dymi...

Prawił do mnie ten zgrzyt dziki swe ogromne epopoje: jak
z potwornej tej gardziele co dnia skarbow nuri się leje, jak
się wzbija coraz wyżej zadymiony łeb kominu, jak tam w górze
coraz jaśniejsze, a tu w mrokach śpi niziną, jak rozpacznie wśród
lepienek na podmiejskich chał podwórkach.

O! zupełnie, jakbyś czytał w piekle Dantę lub w... broszur-
kach.

I wkroczyłem w mrok ten gęsty niosąc pierwszą skrę ka-
panka.

Na przedmieściu wśród wertepów była sobie tam lepianka,
a w lepiance izb kilkoro, a w tych izbach ludzkie mrowie:
chudy barłóg przy barłogu, szare ludzkie nędz pogłowie.

ARTUR GLISCZYŃSKI

MAŃKA (fragmenty)

Pan Stach plótł o „nadwartości” i o pracy wyzwalaniu,
a dziewczyna zasluchana śniła bajkę o kochaniu.

Mówił jej o nienawiści i o walce w imię chleba, a bieda-
ciew wciął się zdaje, że i kochać także trzeba.

Dawał książki do czytania, nad którymi aż trza szlochać,
chciał nauczyć wielu rzeczy, a nauczył tylko... kochać.

Kazał główkę trzymać dumnie i czuć godność pracownicy,
a Marynia przed panieciem na pokorę niewolnicy...

A pan Stacho, rzadził Mańka i zaprawia do działania...
„Tam rozrucił proklamacje, tu odwołasz dwa zebrania,
staniad wolać trza „szpinierki”, tutaj „ostrzec”, ówdzie
„schować”, tam złożyć nową kasę, a tu kółko uformować...”

Mańka leci, Mańka nieście, a za Mańką tyłu spieszysz... Wre

„robotę”, rosną siły, głuchy pomruk mknie po rzeszy, niewi-
dzialny polip wrzenia ssawki swe rozacza, grozi, szemrze,
grzmi...

Była cisza, straszna cisza, jak przed gromów kanonadą i ma-
jowy wstał poranek z twarzą zda się trupioblada.

Nie ożyła się ulica swą codzienną handlu wrzawą i z ko-
minów dym girlandą nie wytryskał błękitnawa.

Gwizdków akord przeraźliwy nie zwiastował przebudzenia,
i w tę ciszę zasluchane drżało miasto z przerażenia...

Nagle zerwał się huragan i rozwiechrzył ludzkie fale:
Zaroiły się ulice i zawył w dzikim szale!

Popłynęło straszne mrowie bez pamięci i bez ładu, ślepym
pędem naprzód, naprzód, jak lawina wodospadu!

Szedłem z tłumem... Zrazu przodem, by bezładnie sprawić
szyki i hamować skinięciami rozchukania rozpęd dziki!

Wszak mnie znają, wszak, bywało, mych rozkazów każdy
słucha...

Nie zawiódł, posłuchają promienistych hasel ducha,
Wszak to karny, zwarty szereg, to tłum-człowiek, nie tłum-
zwierzę! Tak glosiły wszystkie księgi i programy na papie-
rze!

Prześcignęła mnie lawina i wydarła się mej siłę! Poszła da-
lej rozchukana, ja zostałem gdzieś tam w tyle!

Łowię uchem szum jej biegu, ścigam okiem głów jej morze...
Nagle... Co to? Wrzask potworny, ryk i loskot... Boże! Boże!

Słyszę jęki i przekleństwa... krew rozpryska na kamienie
i okropny krzyk dokola: „Bija! Burza cudze mienie!”

Biegnę, wołam, błagam, grozę! Nie słuchają mego głosu!
Pędzi żywioł rozpętany wśród krwi, jęków i chaosu!

Depcze, zmiata co spotyka, straszny, wsiekleły, rozszalały.
Zalałamem z bólu ręce...

Właśnie grzmiały pierwsze strzały... Powiał straszny wicher
światów... Padł trup jeden, drugi, trzeci...

Tłum się łamie, pęka, zrywa, pierzcha, leci, leci, leci...
Zawichrzony i skłębiony, bez pamięci, nieprzytomnie —

miazdży własne swoje członki i przelewa się koło mnie...
Krzyk, jęk, swisty, kłatwy, łkania... Nagle w zgietku i cha-
osie usłyszałem głos niewieści, a co drgało w owym głosie —

nie wypowiem: rozpacz, trwoga, tysiąc różnych drgnień w roz-
terce, wycie łwicy, jęk anioła... jakiś bezmiar... jakieś serce...

I w tej chwili tuż przede mną — obraz bólu i przestachu —
z rozwartymi ramionami stała Mańka:

— Panie Stachu!

Krzyk urwany — strzał ostatni dla mych piersi przeznaczony...

Głupia kula! Padła Mańka u mych stóp, jak kłos skoszony...

(z tomu „Obrazki”, 1907)

U PRZYJACIÓŁ

Z okazji Dni Kultury Radzieckiej gościmy w Polsce szereg zespołów artystycznych i artystów, którzy zapoznają nasze społeczeństwo ze swoją twórczością i dorobkiem. A oto kilka bliższych szczegółów o niektórych naszych gościach.

Moskiewska Orkiestra Kameralna obchodziła w ubiegłym roku dwudziestolecie swego powstania. Głównym inicjatorem jej założenia był sławny dyrygent a jednocześnie wybitny altowiolonista — Rudolf Barszaj. Zespół specjalizuje się w wykonywaniu utworów muzyki dawnej. Koncertował już w czterdziestu państwach wszystkich kontynentów. Zespół ma w swym repertuarze jakby monografię muzyki kameralnej Bacha. Jeden z koncertów pod nazwą „Sztuka fugi” jest poświęcony w całości utworom wielkiego kompozytora. Poza tym wykonano również liczne kompozycje Prokofiewa i Szostakowicza. Do tej pory zespół Moskiewskiej Opery Kameralnej znany był polskim melomanom jedynie ze swoich wykonań w radio i nagrań płytowych.

* * *

Ze sztuką najwyższej klasy zetkną się również polscy miłośnicy baletu, którzy uczestniczyć będą w występach zespołu tanecznego Teatru Opery i Baletu im. S. Kirowa z Leningradu. Teatr ten istnieje już prawie od dwustu lat. W roku 1783 Katarzyna II kazała powołać do życia trupę operowo-baletową oraz zbudować gmach teatru zwany „Wielkim Murawynem”. Po otrzymaniu własnego budynku trupa ta przekształciła się w słynny „Teatr Marijski”.

Petersburska, a później leningradzka scena operowo-baletowa zajmuje jedno z najbardziej poczesnych miejsc w historii muzyki, teatralistyki i tańca. W murach tego teatru po raz pierwszy wykonywano dzieła takich kompozytorów jak: Glinka, Borodina, Rimski-Korsakow, Czajkowski, Glazunow. Tu w okresie władzy radzieckiej odbywały się premiery utworów Chrennikowa, Asafiewa, Prokofiewa i Giera, Kabalewskiego, Chaczaturjana. Tu śpiewali najwybitniejsi śpiewacy rosyjscy, radzieccy i zagraniczni. Tutaj także występowały taniec tej klasy co Karasawin, Pawlowa, Ulanowa. Niżynski, Szawrow czy Siegiejew.

W okresie blokady Leningradu tylko część zespołu ewakuowała się do Permu, pozostali zaś prowadzili normalną działalność artystyczną w straszliwych warunkach wojennych, prezentując nie tylko normalne spektakle dla ludności, ale dając również wiele premier. Ponadto artyści Teatru im. S. Kirowa wystąpili ponad trzy tysiące razy z koncertami dla żołnierzy frontowych i rannych w szpitalach.

W bieżącym repertuarze zespołu operowo-baletowego znajdują się 32 opery oraz 26 baletów, z czego połowa to utwory kompozytorów rosyjskich i radzieckich. Teatr zatrudnia ponad tysiąc pracowników z czego połowa to artyści: muzycy, śpiewacy i tancerze.

Grupa, która gościła obecnie w Polsce składa się z 114 osób, w tym 90 tancerzy. Zespół ten występuje z towarzyszeniem orkiestry polskiej, którą dyryguje Wiktor Fiedotow i Wiktor Szorokow. Artyści przywieźli ze sobą trzy spektakle baletowe: „Śpiącą królową” i „Jeźdźca labędzie” Czajkowskiego a także składankę, na którą złożyli się wykonawcy już od 65 lat „Chopiniana” w choreografii Fokina oraz balet na motywach „Leningradzkiej symfonii” Szostakowicza w choreografii Igora Biełskiego.

* * *

W skład delegacji filmowców radzieckich wchodzi znany reżyser Andriej Michalkow-Konczalowski. Jego filmy „Pierwszy nauczyciel”, „Słacheckie gniazdo” i „Wujaszek Wania” są doskonale znane polskiemu widzowi. Obecnie wszedł na nasze ekrany najnowszy film tego reżysera „Romanca o zakochanych”, który otrzymał Grand Prix na ubiegłorocznym MFF w Karłowych Warach.

A oto co powiedział na temat tego filmu sam reżyser:

„Kiedy postanowiłem zrealizować ten film, zdawałem sobie doskonale sprawę, iż w historii filmu powiedziano na temat miłości prawie wszystko. Czy można powiedzieć coś więcej? A mimo to wiedziałem iż widowiec nadal oczekuje na kolejne filmy poświęcone miłości. Dowodził tego zresztą tysiące listów, które napływały do pisma „Sowietiskij Ekran” na wieść o tym, że przystępuje do realizacji „Romanca o zakochanych”. Były to listy ze wszystkich stron Związku Radzieckiego, pisane głównie przez ludzi młodych, z których każdy pragnął przekazać realizatorowi własne doznania, doświadczenia i marzenia.

Wraz ze scenarzystą przewierlowaliśmy wiele z nich, co nas jedynie utwierdziło w przekonaniu iż taki film powinien powstać. Chcieliśmy, żeby to był film o miłości nie tylko w owym wąskim pojęciu: między kobietą i mężczyzną; obok tego głównego wątku poruszyliśmy także sprawę rodziny i miłości do ojczyzny. Nie wszystkim widzom spodobało się zakończenie tego filmu, wielu spodziewało się klasycznego „happy endu”. Sądzę jednak, że nasze rozwiązanie jest także optymistyczne.”

Białych w Republice Południowej Afryki jest 3 i pół miliona. Niebiałych — około 18 milionów, łącznie z pół miliona Hindusów i blisko 2 milionami tzw. kolorowych, tj. ludzi mieszanego krwi. Między białymi i niebiałymi przebiega dyskryminacyjna granica apartheidu. Jest to termin, którym rząd w Pretorii określa stosunki w kraju, i przy pomocy którego, kładąc nacisk na etymologię tego słowa oznaczającego „segregację”, dąży do przydania mu bardziej „niewinnego” znaczenia niż wulgarny rasizm. Natomiast większość ludzkości uważa RPA za powszechny obóz koncentracji dla Afrykanów.

Dla Europejczyka, przybywającego do RPA przez „powietrzne wrota” Johannesburga, pierwszy kontakt z apartheidem rozpoczyna się od wypełnienia ankiety, w której należy podać przynależność rasową: „Europejski”, „Azjata”, czy „tubylec”. Nie jest to takie łatwe. Zaczniemy od tego, że „Europejski” oznacza w tym wypadku tylko „biały”, a nie fakt pochodzenia z kontynentu europejskiego. Z drugiej strony kolor skóry nie jest bynajmniej ostatecznym kryterium zaliczenia do tej lub innej kategorii. Ze względu na dziwaczne powody, za „Europejskich” a więc białych, uważa się tutaj także Japonczyków i Chińczyków, podczas gdy Hindusów, Pakistańczyków, Syjamczyków, Wietnamczyków jak również ludzi innych narodowości bezspornie pochodzących z Azji — zalicza się do „niebiałych”. Japonczyków np. zaliczono do białych w wyniku incydentu w Durbanie, który omal nie spowodował zerwania stosunków dyplomatycznych między obu krajami, kiedy to przybywającego z oficjalną wizytą w RPA członka japońskiej rodziny cesarskiej kelnierka restauracji „Tylko dla białych”, nie przebiegając w słowach, wyprosiła z lokalu.

Jeżeli w RPA — pisze korespondent włoskiego tygodnika „Storia Illustrata” — nie wszyscy „Europejscy” są rzeczywiście Europejczykami, to i nie wszyscy „biali” mają rzeczywiście biały kolor skóry. Tymczasem skrupulatnie różnice są tutaj tak ważne jak nigdzie, od nich bowiem zależy każdy krok na terytorium RPA. Jeśli się jest Europejczykiem, to można jeździć tramwajem i windą „dla Europejczyków”, mieszkać w hotelach i uczęszczać do teatrów w centrum miasta, używać toalety dla białych itd. Natomiast prawa i możliwości Afrykanów, Hindusów i „bastardów”, bo tak w RPA nazywa się „kolorowych”, reguluje ściśle opracowana skala, której mechanizm jest uzależniony od ilości „niebiałej” krwi w żyłach Afrykanina, Hindusa i bastarda. W najgorszym wypadku mogą oni zamieszkać w jednym z rezerwatów przeznaczonych dla „bantów”, czyli Afrykanów, które ciągną się kilometrami

poza granicami miejskich dzielnic. A w najlepszym wypadku wolno im zamieszkać w specjalnie wydzielonym skrzydle niektórych hoteli, przeznaczonym dla Hindusów i „kolorowych”. Jedynym „plusem” polityki apartheidu jest to, iż prowadzi się ją mniej więcej jawnie, przy pełnym świetle dnia, bez hipokryzji Alabamy czy Południowej Karoliny.

„Rozwiązanie” problemu rasowego

zyciowo niezbędny element całego społeczeństwa RPA. Johannesburg stoi na „rafie” — stycznej złotożółtej Transwalu. Jest tu około 70 kopalń złota (większość z nich należy do anglo-amerykańskiej korporacji). Od czasu, gdy cena złota na międzynarodowych rynkach gwałtownie wzrosła, znów uruchomiono wiele starych kopalń, ponieważ znów przynoszą zyski.

Southo jest dotknięte chorobami typowymi dla twórców tego rodzaju, w których przebiecie od wspólnoty wiejskiej do cywilizacji przemysłowo-miejskiej łączy się ze skokiem od średniowiecza wprost do współczesności. Władze południowoafrykańskie nie ukrywają powagi tych problemów, twierdząc jednak, że „wrzody” Southo świadczą, iż różnice cywilizacyjne między białymi a Afrykanami są jeszcze ogromne. Rozmawiając w ten sposób usprawiedliwiają różne kroki represyjne wobec Afrykanów, jak choćby ograniczenie swobodnego poruszania się.

Czy trafne są prognozy ludzi, którzy łowią w dzisiejszej atmosferze oznaki jeśli już nie likwidacji, to jednak zbliżającego się „zmiekczenia” apartheidu? Warto w związku z tym przypomnieć, że we wrześniu 1968 roku premier rządu południowoafrykańskiego został zaszyty w sali parlamentu przez subiekta sklepowego grecko-portugalskiego pochodzenia — Demetriusa Fsaendasa. Uznany na rozprawie za nieporozumiałego, sprawca zabójstwa powiedział, iż swoim czynem chciał podkreślić nieodwołność wprowadzenia jeszcze bardziej bezkompromisowej polityki rasistowskiej. Sądzone ogólnie, że nastąpi to kiedy stanowisko premiera objął były minister sprawiedliwości, Balazar Johannes Vorster, zwolennik działań ekstremistycznych. Jednakże ku powszechnemu zdumieniu okazał się on bardzo gładkim dyplomatą. Nawązał kontakt z Republiką Malgaską, Malawią i Botswaną. Podczas wizyt w RPA ministrów spraw zagranicznych niektórych krajów afrykańskich, Vorster wywołał nawet niezadowolone członków swojej własnej partii. Nie tylko wydawał przyjęcia na cześć gości, ale także podawał na stół wino, co już było rzucaniem rekawów jednej z zasad apartheidu. Ta wyzywająca „szerokość spojrzenia” premiera doprowadziła do rozłamu w szereguach rządu Partii Narodowo-istycznej. W czasie swej podróży po zachodniej Europie Vorster publicznie wyraził pragnienie nawiązania „dialogu” z Czarną Afryką. Dając świadectwo „dobrej woli”, premier przytaczał przeróżne dane statystyczne, a m.in. i takie, że w 1967 roku skazano w RPA na śmierć 101 osób, w 1968 — 119, a w 1969 — tylko 64.

Dziś na przebieg procesu „zmiekczenia” apartheidu mogą mieć wpływ wydarzenia w dalekiej Lizbonie, których wstrząsy dały się odczuć bezpośrednio u progu Republiki Południowej Afryki. Dotąd Mozambik i Angola odgrywały rolę bufora między RPA a ruchami narodowowyzwoleńczymi. Teraz przeniknęły one na terytorium Namibii, byłej niemieckiej kolonii w południowo-zachodniej Afryce, której skrawek znajduje się pod rządami Pretorii. W ten sposób granice RPA mogą się okazać pewnego dnia o wiele mniej spokojne niż były dotąd, a biali południowo-Afrykanie z przerażeniem myślą, że wcześniej czy później zaleje ich czarna fala.

W obliczu tych faktów RPA jest zmuszona do „zmiekczenia” apartheidu i już coraz częściej słyszy się opinie, że najlepszą drogą wiodącą do tego celu są ustępstwa i rozmowy z afrykańską ludnością RPA.

Jerzy Czech

RPA „TYLKO PIENIADZE NIE MAJĄ RASY...”

w RPA ma swoją ponurą historię znaczącą epizodami okrucieństwa i cierpienia. Najtragiczniejszym spośród nich były krwawe wydarzenia z 21 marca 1960 roku, kiedy to w mieście leżącym 50 km od Johannesburga policja otworzyła ogień do demonstrantów, protestujących przeciwko systemowi przestępek ograniczających poruszanie się niebiałej ludności. 72 osoby poniosły śmierć, ponad 200 odniosło rany. Później nastąpiły liczne procesy o „zdradę stanu”. W liczbie oskarżonych znalazło się też sporo białych, których przestępstwo polegało na propagowaniu liberalnych poglądów. Wśród aresztowanych bojowników przeciwko apartheidowi znalazł się także przewodniczący Afrykańskiego Kongresu Narodowego, laureat Nagrody Nobla z 1960 roku, Albert Lutuli. Zesłano go do oddalonego rezerwatu, gdzie niebawem zmarł w nader zagadkowych okolicznościach. W 1971 roku został aresztowany biskup (biały) kościoła anglikańskiego w Johannesburgu, aktywny przeciwnik apartheidu.

Żeby rzucić nieco więcej światła na listę rasistowskich stosunków w kraju, należy przypomnieć o tak ważnym fakcie, jak bogactwa naturalne RPA. Więc przede wszystkim złoto (72 proc. wydobycia w świecie kapitalistycznym), następnie diamenty, uran i inne kopaliny, w tej liczbie bogate pokłady węgla koksującego. Na bazie tych bogactw rozwinięto się wielki przemysł, przede wszystkim metalurgiczny, chemiczny, budowy maszyn. Zajmując zaledwie 4 proc. terytorium afrykańskiego kontynentu, na którym mieszka tylko 6 proc. ludności Afryki, RPA produkuje ponad połowę energii elektrycznej i posiada jedną trzecią linii kolejowych całego kontynentu. Johannesburg, nazywany nieraz największym centrum przemysłowym na południe od Mediolanu, pozwala zrozumieć na czym polega istota ekonomicznej bazy apartheidu. Czarnoskórzy południowo-Afrykanie stanowią

Dziś tylko w samych kopalniach złota pracuje 50 tysięcy białych i pół miliona Afrykanów. A przecież w kraju są także kopalnie diamentów, kopalnie rud uranu, węgla oraz wielu innych minerałów, których przyrodnie pokłady Południowej Afryce. Aby zapewnić się ręboczą kopalniom, RPA zatrudnia poszukujących pracy robotników z Malawi, Mozambiku i innych krajów Czarnego Afryki. Ale białym, jeśli pominąć kwestie moralne, potrzebne są nie tylko afrykańskie ręce do pracy, lecz także wyższa siła nabywcza afrykańskiego rynku. Niebiali nie mogą chodzić ani do restauracji, ani do kin „dla białych”, nie mogą jeździć w autobusach i wagonach kolejowych „dla białych”, muszą stać w oddzielnych kolejkach do obojętnej na poczęcie itd. Ale ponieważ nawet w RPA „pieniądze nie mają rasy”, przeto przed czarnymi Afrykanami stoją otworem drzwi sklepów, magazynów, a zwłaszcza wielkich domów towarowych.

Afrykański rejon Johannesburga nosi nazwę Southo — skrótu określenia „południowo-zachodniego rejonu miasta”. Jest to nie kończąca się masa identycznych domów, 600 tysięcy Afrykanów, zamieszkujących 75 tysięcy domów Southo, jest największym skupiskiem afrykańskiego proletariatu na całym kontynencie. Tutaj mieszkają robotnicy, posłańcy, ekspedienty sklepów, personel hoteli, ogrodnicy itd. (górnicy mieszkają w osiedlach przy kopalniach) oraz nieliczna „elita”, jak lekarze, adwokaci, artyści, handlowcy, aktorzy, modelki. Przez Southo przebiegają dwie linie kolejowe i ulice, które rano i w godzinach szczytu przemieniają się w gęstą masę ludzkiego potoku. „Czarne miasto” ma także i swoich bogaczy, jak np. zuluskiego milionera Efrima Cabalala, właściciela kompanii domów towarowych, stacji benzynowych, pralni chemicznych, rzeźni itp. Posiada on nawet własnych, przywiezionych tutaj, czarowników...

ki w wysokości ponad 300 mln dolarów.

Wszystko to razem potwierdza nasz sąd, wyrażony przed tygodniem, iż w Indochinach powstała zupełnie nowa sytuacja, która może rzutować na rozwój wydarzeń nie tylko w tym rejonie.

Zacytujmy w tym miejscu „Le Monde”:

„Porażka amerykańska w Indochinach — to nie tylko odwrót wielkiego mocarstwa, które zmuszone jest wycofać się z obszarów, od dawna uznanych przez nie za niezmiennie ważne. To również zamknięcie pewnego cyklu historycznego... Ameryka dźwiga na swych barkach poważną odpowiedzialność, która każe wątpić o wartości zarówno jej przywództwa w świecie, jak i jej przyczyn.”

I dalej: „Azja wiedziała instynktownie, iż pewnego dnia wydobędzie się z zapomnienia”.

Z opóźnieniem, które charakteryzuje politykę amerykańską, francuski dziennik pisze prawdę: realizm nakazuje taką właśnie ocenę sytuacji na Półwyspie Indochińskim.

Azkołwiek ten temat: sytuacja w Indochinach jest obecnie najczęstszym na łamach prasy, przecież nie mniej ważne zainteresowanie budzą i inne wydarzenia. Np. wybory w Portugalii.

Odbyły się one, jak wiadomo, w pierwszą rocznicę obalenia dyktatury faszystowskiej. Wzięto w nich udział ok. 6 mln obywateli, ponieważ granicę wieku wyborców obniżono do 18 lat.

W chwili przygotowywania komentarza do druku nie dysponujemy jeszcze ostatecznymi wynikami. Wiemy jednak, że partia koalicyjny rządowej odniosła poważny sukces. Największą liczbę głosów i miejsc w parlamencie uzyskała partia socjalistyczna, na drugim miejscu uplasowała się partia ludowo-demokratyczna, na trzecim zaś komunistyczna.

Wyniki wyborów będą miały bez wątpienia poważny wpływ na układ sił społeczno-politycznych w Portugalii. Umocnią one zasadnicze kierunki rozwoju kraju, które wyznaczają: nacjonalizacja podstawowych gałęzi przemysłu i reformy rolne.

Pisaliśmy już, że na krótko przed wyborami przyjęta została platforma wyborcza, która jednocześnie określała strukturę władz. Jej istota sprowadza się do tego, że decydującą siłą w Portugalii pozostaje socjalistyczna ludność.

Rezultaty wyborów są pełną aprobatą dla takiego rozwiązania modelowego. Jeśli przypomnimy sobie, że prawica portugalska w ciągu zaledwie roku przypuszczała niejedną szturm na młodą republikę i wiązała duże nadzieje z wyborami — ich wynik może być komentowany jednoznacznie: przynosił one umocnienie zmian, jakie przed rokiem dokonały się na krawędzi Europy. To napawa uzasadnionym optymizmem.

W. Sławski

■ Porażka o dużych następstwach

■ Umocnienie młodej republiki

Thieu ustąpił. Tego można było się spodziewać. W ub. tygodniu pisaliśmy, że tak niewątpliwie potoczą się wydarzenia. Jakże się jednak tego polityczne reperkusje?

W chwili, gdy piszemy komentarz silny wywołanie znajduje się w pobliżu Sajgonu i według ocen ekspertów zachodnich — atak na stolicę południowego Wietnamu może nastąpić w każdym momencie. Władze reżimowe podejmują próby doprowadzenia do rokowań, które zmierzają do utrzymania sytuacji „Thieu bez Thieu”. Nowy reżimowy rząd zaproponował tego rodzaju rozwiązanie — rozpoczęcie rozmów pokojowych. Tymczasowy Rząd Rewolucyjny odrzucił tę propozycję, oświadczając, że może rozpocząć rokowania tylko wtedy, kiedy w Sajgonie powstanie rząd rzeczywiście reprezentujący naród wietnamski i opowiadający się za pełnym wprowadzeniem w życie układów paryskich.

Tak — w lapidarnym skrócie — przedstawia się sytuacja w Wietnamie południowym w dniu, kiedy komentarz kierujemy do druku. To podkreślenie jest konieczne, ponieważ rozwój wydarzeń może wyprzedzić cykl produkcyjny „Odgłosów”.

Następca Thieu — sędziwy, bo liczący ponad 70 lat Tran Van Houng — za-

pewnił sygnatariuszy rozmów paryskich, iż gotów jest do rokowań. Nie wyklucza możliwości utworzenia Rady Jedności Narodowej, czyli spełnienia jednego z postanowień konferencji genewskiej. Przypomnijmy, że Thieu nigdy na to nie wyrażał zgody, ponieważ „torowałoby to drogę udziałowi komunistów we władzach”. Można by zatem, przykładając miary bezwzględne, ocenić ten fakt za pewien postęp. Jednakże jest on niezadowalający, ponieważ, jak oświadczył przedstawiciel TRR, „do rozmów może dojść jedynie, kiedy Stany Zjednoczone przestaną ingerować w sprawę Wietnamu południowego oraz popierać administrację sajgońską”.

Nowe wydarzenia w Wietnamie południowym — zdaniem komentatorów zachodnich — otwierają możliwości rokowań. Wierzy w nie zwłaszcza Francja, która poszukuje rozwiązań pokojowych i kompromisowych zarazem.

W Stanach Zjednoczonych panuje niepokój. Prez. Ford wygłosił przemówienie w Nowym Orleanie, które komentuje się jako deklarację ostatecznego wycofania się USA z Wietnamu. Poczyniono kroki, aby zapewnić sprawą ewakuację obywateli amerykańskich z Wietnamu. Na ten cel Izba Reprezentantów uchwaliła środ-

ANATOMIA ZBRODNI (VI)

ANDRZEJ BLAJER

KRZYWE ZWIERCIADŁO PRAWDY

Podstawowym celem każdego procesu prawnego jest ustalenie prawdy. Drugim celem jest przestrzeganie praw osób, przeciw którym proces wytoczono, aby, dopóki ich wina nie zostanie przez sąd w pełni wykazana, (to znaczy w oparciu o kompletny materiał dowodowy), nie mogli być uznani za winnych popełnienia zarzucanych przestępstw.

Czy jednak w przypadku Oswalda przestrzegano tych reguł?

Od momentu schwytania go przez policję po zabójstwo policjanta Tippa został oskarżony o zamordowanie prezydenta Kennedy'ego i uznany za winnego zanim jeszcze zdolał zebrać jakiegokolwiek materiał obciążający. I choć Oswald nigdy nie przyznał się do zabójstwa prezydenta, a materiał dowodowy był nader skromny (głównie relacja Bernnana) okrzyknięto go jedynym mordercą Johna Kennedy'ego. Całe postępowanie, mające ustalić i wyjaśnić okoliczności związane z zamachem, a które było prowadzone przez komisję dochodzeniową i FBI, przebiegało właśnie w oparciu o tezę wyłącznej winy Oswalda. Nie brano pod uwagę, jakiegokolwiek faktów, które wskazywałyby na uczestnictwo w dokonaniu mordu, innych osób. Od początku było dla wszystkich jasne — winien jest Oswald i tylko Oswald. Ale, ale, jeśli wszystko przedstawiało się tak prosto, to skąd tyle niejasności i kontrowersji w raporcie, skąd tyle naginania faktów do prezentowanej w nim wersji przebiegu wydarzeń, skąd tyle wręcz absurdalnych stwierdzeń?

I tu właśnie z całą ostrożnością unaczynia się słabość tez wysuniętych przez organa dochodzeniowe. Tu widać wyraźnie, że Oswald to tylko „kozioł ofiarny”, że prawdziwym mordercą (nieprzypadkiem używam tu liczby mnogiej, gdyż przytoczone wcześniej fakty świadczą, że było ich kilku) i ich protoktorzy są poza podejrzeniami, poza zasięgiem śledztwa.

A jeśli to nie on był mordercą, dlaczego nie ujawniono prawdy?

Na to pytanie próbowałem już znaleźć odpowiedź. Spójrzmy więc z perspektywy minionych jedenastu lat na niektóre fakty (nie wszystkie były wówczas znane), a pomoże nam to lepiej zrozumieć właściwy sens owego „dlaczego” jak i to, że Oswald był rzeczywiście „koziołkiem ofiarnym”.

Argumentami, które wyjątkowo sugestywnie przemawiają za tym ostatnim, to całkowity brak jednolitego, zgodnego stanowiska w relacjach świadków w odniesieniu do wszystkich kluczowych problemów poruszonych w raporcie. Wspomniana już profesor Margaret Field sporządziła szereg diagramów, na których były zestawione zeznania i wypowiedzi osób przesłuchiwa-

nych przez komisję. Otóż wynika z nich niezbicie, iż wokół każdej spornej kwestii istniało około tuzina przeczących sobie wzajemnie relacji. Można było więc przy pomocy tego materiału równie dobrze dowiedzieć, że Lee Harvey Oswald był uczestnikiem spisku na życie prezydenta, jak też, że działał wyłącznie sam. Ktoś mógłby w tym miejscu postawić pytanie, jak wobec tylu sprzeczności można było w ogóle wyciągnąć jakiegokolwiek wniosek i pokusić się o przedstawienie przebiegu wypadków? Odpowiedź na nie tkwi w tej oto wypowiedzi, udzielonej przez jednego z członków zespołu redagującego raport:

„Ponieważ żaden z „śledźców” nie zdobył się na to, aby przeanalizować cały materiał dotyczący okoliczności zamachu, polecono nam go uporządkować i dokonać selekcji wśród zebranych dokumentów. W ten sposób powstał ów 888-stronicowy tekst, który komisja przedstawiła do zatwierdzenia”.

Z kolei na pytanie, czy kierowano się przy tym jakimikolwiek wytycznymi, odpowiedział:

„Nie chciano za żadną cenę dopuścić do podziału kraju między dwa obozy. Nawet wielu spośród zwolenników Kennedy'ego było za tym, aby uspokoić nastroje społeczeństwa. Dlatego nie ukrywano przed nami, że wszyscy byliśmy zadowoleni, gdyby nasz raport mógł potwierdzić oficjalną wersję”.

Zresztą, jak powiedział dalej:

„Nasz sztab stał przed dylematem. Gdyby bowiem zrezygnowano z tezy, iż sprawcą mordu był wyłącznie Oswald, trzeba by zacząć badać ponad 500 innych śladów. A wówczas nasze śledztwo przybrałoby rozmiary wyścigu do przodu. Pochłonęłyby miliony dolarów i ciągnęłyby się, być może, latami. Prezydent Johnson zaś chciał, aby cała sprawa została załatwiona jeszcze przed listopadem 1964 roku, to znaczy przed wyborami prezydenckimi i pilnie należało na szybko rezultaty. Tak więc, nie da się zaprzeczyć, iż Oswald był wprost idealnym koziołkiem ofiarnym”.

Toteż mając owe sprawy na uwadze pominięto, lub określono jako „nieistotne”, wszystkie te świadectwa i zeznania, które podważały tezę o wyłącznej winie Oswalda. Dlatego również przeprowadzono setki testów strzeleckich, aby osiągnąć zgodność tej tezy z przebiegiem akcji na filmie Zaprudera. Ale choć zatrudniono przy tej „robocie” najlepszych strzelców z FBI i armii, teza mogła być do przyjęcia jedynie pod warunkiem, iż pierwszy strzał Oswalda był podwójnym trafieniem. W tej sytuacji wspomnianą zgodność można było osiągnąć tylko w jeden sposób — przez przygotowanie do-

wód. Przykładem mogą być klatki 314 i 315 na filmie Zaprudera. Otóż w raporcie

kolejność ich została zamieniona, to znaczy klatka 315 znalazła się przed 314. Wydawać się mogło, iż to błąd, ale, ot, przeoczenie, a jednak — w efekcie tej zmiany odnosi się wrażenie, że głowa prezydenta po ugodzeniu ostatnią kulą odskakuje ku przodowi (dowód na strzał z tyłu), choć w rzeczywistości było odwrotnie. Uwagę na tę „subtelna zmianę” dokonał przez komisję, zwrócił po raz pierwszy szef FBI, Edgar Hoover, czemu dał wyraz w liście wysłanym do komisji 14 grudnia 1965 roku, sugerując jednak „pomysłkę w druku”.

Inną „ciekawostką” jest brak w tomie prezentującym film czterech klatek, tj. od 208 do 211. Dlaczego właśnie brak tych czterech, skoro są wszystkie inne, nawet zupełnie nieistotne dla śledztwa? David Lifton, badając film i przeprowadzając analizę torów pocisku, doszedł do wniosku, iż po trafieniu prezydenta (klatka 207) padł strzał, który trafił Connally'ego. Jest wysoce prawdopodobne, iż brakujące klatki wskazywałyby fakt istnienia drugiego strzelca.

„Nie chciano, by korektura faktów” nie mogła być równa z tą, którą komendant Humes „uradował” główną tezę komisji Warren. Jak pamiętamy, w sporządzonym po zakończeniu autopsji protokole, umieszczał on nagłe otwarte rany wiotkiej na plecach prezydenta 15 centymetrów powyżej miejsca zaznaczonego przezeń na pierwszym, później zniszczonym, zdjęciu.

Wspomniany już kilkakrotnie profesor Cyril Wecht, czołowy amerykański specjalista w dziedzinie medycyny sądowej (dyrektor Instytutu Medycyny Sądowej w Pittsburghu), mówiąc o osobie doktora Humesa stwierdził, iż nie posiadał on praktycznie żadnego doświadczenia w patologii sądowej, bowiem nigdy przedtem nie miał do czynienia z przypadkiem morderstwa. Tak więc jego hipotezy nie miały żadnych poważnych podstaw medycznych.

Sama komisja także zdawała sobie świetnie sprawę z faktu słabości swych argumentów. Toteż niektóre dowody rzeczowe, zaraz po ukazaniu się raportu, polecił otoczyć ścisłą tajemnicą. W ten sposób władze sądowe zarekwirowały 65 barwnych fotografii wykonanych podczas autopsji zwłok Kennedy'ego (jak na przykład zdjęcia mózgu) oraz pewną ilość diapozytywów mikroskopowych, które mogły wskazać kierunek, z jakiego nadleciały kule. W kwietniu 1965 roku materiały te otrzymała rodzina Kennedy'ów, która następnie przekazała je w listopadzie 1966 roku National Archiw w Waszyngtonie. Tam zaś postanowiono, iż przed rokiem 1971 nikt nie będzie miał do nich dostępu.

W międzyczasie różne agencje rządowe starały się zniechęcać, blokować lub wręcz krzyżować działalność tych, którzy chcieli się za „dużo” dowiedzieć

o zbrodni w Dallas. Redaktorom i historykom wręcz zalecono, aby zajmowali się innymi tematami. Dopiero w 1971 roku, kiedy upłynął termin na okrywanie tajemnicą materiału zdjęciowego, złożonego w National Archiw, sprawa morderstwa na prezydencie znów stanęła w centrum uwagi opinii publicznej. Jednak, gdy po długich staraniach profesor Wecht otrzymał wreszcie w sierpniu 1972 roku pozwolenie na zbadanie tych tajemniczych dowodów, okazało się, iż zarówno szklane naczynie zawierające cząstki mózgu prezydenta, jak i diapozytywy mikroskopowe zniknęły bez śladu. Nikt nie miał pojęcia, co się z nimi stało. Mimo ich braku profesorowi udało się uchylić nieco rąbka tajemnicy, iż szczerze kryjącą prawdę o zabójstwie Kennedy'ego. Po długiej i starannej analizie kolorowych zdjęć z autopsji Wecht oświadczył:

„Rentgenogramy ujawniały w górnej części mózgu prezydenta ciemnoniebieski obiekt. Najwyraźniej chodził o fragment kuli, którego położenie stawało pod znakiem zapytania. Słuszność głównej tezy raportu Warren. Co się zaś tyczy strzału, który rzekomo zranił również gubernatora Connally'ego, to muszę stwierdzić, iż ugodził on w płeć prezydenta pod takim kątem, iż całkowicie wyklucza to możliwość „podwójnego ranienia”. W żadnym wypadku nie jest również możliwe, aby wszystkie rany mogły zostać spowodowane w ciągu pięciu sekund przez jednego człowieka”.

Nie ma więc już wątpliwości co do tego, że było kilku morderców (przynajmniej dwóch). Sprawa otwarta pozostaje jedynie pytanie, jaką rolę w dramacie odegrał Oswald? Zarzut dokonania zabójstwa prezydenta nigdy mu nie udowodniono, nie znaleziono jego odcisków palców ani na karabinie, ani na przedmiotach w magazynie z okna którego padły trzy strzały. Nikt również nie był w stanie rozsądnie wyjaśnić, jak to było możliwe, aby tuż po strzelaninie mógł tak szybko znaleźć się w zupełnie innym miejscu. Tak samo jak nikt nie był w stanie wyjaśnić zagadkowej śmierci kilkunastu osób, które o tej całej sprawie albo za dużo wiedziały, albo za dużo chciały się dowiedzieć, jak na przykład dziennikarka Dorothy Kilgallen. Czy miał zatem rację prokurator z Nowego Orleanu, Jim Garrison (zyskał popularność tym, iż w 1968 roku aresztował kilku biznesmenów jako „domniemyanych inicjatorów spisku przeciwko Johnowi Kennedy'emu”), nazywając go „koziołkiem ofiarnym zaręczonym na ołtarzu racji stanu”?

A więc jeśli to nie on, to dlaczego zginął z ręki Jacka Ruby'ego? Czyżby obawiano się tego, co może powiedzieć, czy też wystarczyło to, co już zeznał w pierwszym śledztwie? Oto jeszcze jedna zagadka.

HIPOTEZY (VIII)

ERICH von DÄNIKEN

MEDYCYN I KOMPUTERY

Profesor E. H. Graul, dyrektor Instytutu Radiobiologii i Medycyny Izotopowej w Philips University w Marburgu oraz cybernetyk, dr Herbert W. Franke opublikowali w „Deutschen Ärzteblatt” prognozę dotyczącą rozwoju medycyny oraz dziedzin nauki z nią związanych na lata 1985 i 2000.

Oto prognoza odnosząca się do roku 1985:

Opanowanie problemów związanych z przeszczepianiem narządów ludzkich i zwierzęcych wyeliminowanie reakcji immunologicznych.

Powszechne używanie narządów sztucznych lub systemów biologicznych (narządów sztucznych wykonanych z plastiku albo elementów elektronowych — podobnie jak w wypadku konstrukcji cyborga).

Znaczący postęp w dziedzinie gerontologii i geriatrii. Przeciętna długość życia człowieka wzrośnie do ok. 85 lat.

Pomyślne sterowanie procesem starzenia się: właściwa dla wieku starczego degeneracja zarówno sił fizycznych jak i zdolności psychicznych zostanie opóźniona.

Pierwsze pomyślne próby wytworzenia w sposób sztuczny prymitywnych form życia.

Korzystny wpływ elektroniki biomedycznej na medycynę praktyczną (na przykład przez umożliwienie produkcji sztucznych kończyn elektronowych, kończyn z serwowymechanizmami, zastosowanie radaru dla niewidomych oraz wielu innych rzeczy).

Prognoza na rok 2000:

Zamrażanie ludzi na przeciąg kilku godzin a nawet dni.

Ustalenie płci dziecka przed jego narodzeniem.

Możliwość przeszczepiania wszystkich narządów.

Korygowanie defektów dziedzicznych.

Nieprzerwana manipulacja genetyczna przeprowadzana na zwierzętach i roślinach.

Sztuczne wytwarzanie prymitywnych form życia.

Powszechne użycie laserów w wyszukujących wiązkach promieni Roentgena oraz promieni gamma.

Powszechna immunizacja biochemiczna przeciw różnorodnym chorobom.

Powszechne użycie cyborgów (sztuczne narządy).

Kierowanie żywymi organizmami przy pomocy elektrycznego pobudzenia mózgu.

Produkcja leków dla kontroli stanów emocjonalnych człowieka, pigułek dla zwiększenia pojemności pamięci i zdolności uczenia się.

Twierdzą, że nieznane istoty myślące umiałyby robić te wszystkie rzeczy w zamierzonej przeszłości.

Twierdzą, że „bogowie” pozostawili wiedzę o nich w czasie swego pobytu na Ziemi.

Twierdzą, że odkrycia czekające na nas w wielu dziedzinach nauki są zmagazynowane w pamięci ludzkiej od niepamiętnych czasów i tylko czekają na to, aby je ponownie wydobyć na światło dzienne.

Eksperymenty, które przeprowadza David E. Bressler z uniwersytetu w Los Angeles i Morton Edward Bittermans z Bryn Mawr College w Pensylwanii są krokiem zbliżającym nas do tego celu. Wszczepili oni rybam dodatkowe komórki mózgowe. Bardzo szybko okazało się, że ryby wzbogaciły dodatkową substancją mózgową są o wiele bardziej inteligentne niż te, którym nie poddano zabiegowi.

Cleveland Clinic w Ohio przeprowadza serię eksperymentów, w których dokonuje się wszczepiania mózgów małych psów.

Dlaczego kapłani Majów wyrzuli bijące jeszcze serca z piersi jeńców?

Dlaczego ludożercy byli przekonani, że przejmowali siłę i rozum swych wrogów, jeśli tylko spożyli ich ciała? Dlaczego w jednym ze starożytnych mitów twierdzi się, że ciało jest we władaniu człowieka tylko w ciągu krótkiego czasu i że człowiek zobowiązany jest oddać je swemu panu w każdej chwili?

Czy należy podejrzewać, że ofiary z ludzi czynione przez tysiąclecia były czymś więcej niż tylko tajemniczymi obrzędami religijnymi? Czy były to zniekształcone wspomnienia dotyczące operacji transplantacji, regeneracji komórek, które przekazywano w ciągu wielu tysięcy lat w przerażającej opacznej formie?

Zajmijmy się przestudiowaniem innej możliwości. Myśląc komputer również będzie przydatny człowiekowi przy pokojowym podboju wszechświata. Choć jego obecne możliwości obliczeniowe mogą się wydawać wprost wstrząsające, to jednak faktem jest, że technika dostarczania informacji przez to cudo elektroniki jest jeszcze w powijakach.

Około dwustu lat temu, wybitny matematyk, Leonhard Euler obliczył wartość liczby pi (π) wyrażającą stosunek obwodu koła do jego średnicy z dokładnością do sześćdziesiątego miejsca po przecinku. To bajeczne osiągnięcie wymagało kilku lat pracy. Jeden z pierwszych na świecie komputerów już po kilku sekundach „wypuścił” obliczoną wartość liczby pi do 2 000 miejsc po przecinku. Nowoczesny komputer oblicza tę wartość do 100 000 miejsc po przecinku w ciągu jednej nanosekundy, tzn. w czasie równym jednej miliardowej części sekundy.

W obecnych czasach mózg komputera, jego rdzeń centralny, działa przy pomocy około jednego miliona jednostek informacyjnych zwanych bitami. Mózg ludzki działa w bardzo podobny sposób. Jednostki pamięci molekularnej i przelazniki nerwowe magazynują i przetwarzają informacje. Już dziecko w kołysce ją magazynuje, nawet jeśli robi to podświadomie. Przez całe nasze życie magazynujemy informacje po to, aby móc do niej sięgnąć w potrzebie. Zbyt często jednak zmuszeni jesteśmy przyznać, że nasz mózg nie posługuje się w sposób niezawodny zgromadzoną wiedzą.

Rdzeń komputera pracuje z precyzją zupełnie innego rzędu. Nasz mózg działa, używając ponad 15 miliardów przelazników, podczas gdy ogromny nowoczesny komputer potrzebuje ich tylko 10 000 000. Dodatkowe elementy mogą być zainstalowane pomiędzy

przelaznikami przez połączenia krzyżowe. Dlatego więc komputer działa o tyle bardziej niezawodnie niż nasz umysł? Dlatego, że ogółem dziesięć dziesiątych części naszego mózgu leży odłogi, a komputer zawsze ma wszystkie swoje bity do dyspozycji.

Nawet obecnie wyższość komputera jest zawydzająca. Jeśli nasz mózg ma pracować na maksymalnych obrotach, musimy skoncentrować się na określonym zadaniu. Komputer jednak może rozwiązywać miliony różnych zadań jednocześnie.

Najszybsza maszyna obliczeniowa używana obecnie w Europie znajduje się w Instytucie Fizyki Plazmowej w Garching, niedaleko Monachium. Przeprowadza ona 16 000 000 operacji obliczeniowych na sekundę. W elektronice żądają maszyn 750 000 tranzystorów połączonych jest ze sobą najkrótszą drogą dzięki zastosowaniu obwodów drukowanych wykonanych metodą fotolitografii. Fale elektromagnetyczne, które dokonują połączeń poruszają się z szybkością światła. Specjaliści od komputerów uważają czas dotarcia do informacji równy 1,5 nanosekundy za rzecz zwykłą. W ciągu 1,5 nanosekundy promień światła przebywa odległość równą jednej stopie i sześciu calom (ok. 38 cm).

Kiedy jednak dowiemy się, że najnowszy komputer będący w posiadaniu Data Control Corporation wykonuje 38 000 000 działań na sekundę, to najszybsza maszyna w Europie wyda nam się modelem przestarzałym. W porównaniu z nim, jeden z modeli produkowanych przez General Electric, GE-235, może być nazwany komputerem domowym. Wykonuje on tylko 165 000 działań na sekundę lecz nie musi się go kupować; można go wynająć płać po 4 centy za sekundę pracy.

Ferrytowy zespół pamięci nowoczesnego komputera mieści 200 000 cyfr na powierzchni jednego metra kwadratowego. Zespoły pamięciowe na taśmie magnetycznej „pozerają” do 10 000 000 bitów danych. Komputery wszystkich rodzajów są doskonałymi uczniami: kontrolują same siebie i nigdy nie robią tego samego błędu dwa razy.

Obecne komputery potrzebują jeszcze tłumaczy, którzy przekładają nasz język, liczby i pojęcia na różne języki maszyn liczących. Bezpomnieliśmy rozmowa z tym niezwykłym stworem nastąpi według oczekiwań około roku 1980. W Ameryce, a przede wszystkim

w Anglii, która jest bardzo zaawansowana w dziedzinie maszyn liczących, próbuje się rozbić mowę ludzką na grupy symboliczne, zrozumiałe dla komputera. Jest to kierunek w jakim zmierzają badania wszystkich producentów maszyn liczących. Jednakże dla IBM, największego ich producenta, język jest zbyt powolnym środkiem porozumiewania się między człowiekiem i maszyną. Dlatego też poszukuje się tu innego środka przekazywania informacji.

Powiedziałem już, że technika budowy komputerów znajduje się dopiero u progu odkrycia ogromnych możliwości. Przyszłe badania naukowe mają do realizacji niesamowite cele: biotroniczny zespół pamięciowy. Kwasy nukleinowe wydają się mieć właściwości magnetyczne. Gdyby się to przypuszczenie okazało prawdziwe, byłoby one najmniejszymi nośnikami informacji. Gdyby badania tego typu zostały uwieńczone sukcesem, wielkość zespołu przetwarzania danych w komputerze byłaby zredukowana do wielkości ludzkiego mózgu. Biotroniczne zespoły informacyjne miałyby wielkość łańcuchów cząsteczek. Wydaje się, że ten rodzaj badań w końcu przyniesie pozytywne rezultaty, jednak obawiam się, że biotroniczne maszyny liczące będą wrażliwe na zakażenia wirusowe i bakteryjne.

Międzygwiezdne podróże kosmiczne odbywać się będą na odległościach setek milionów mil. Przy tych szybkościach jakich się można spodziewać, komputer będzie czymś więcej niż tylko zawsze gotowym kalkulatorem. Nawet jeśli dzisiejsi producenci komputerów zaprzeczają możliwości stworzenia maszyny myślącej i działającej samodzielnie, to nastanie dzień, gdy taka maszyna zostanie stworzona. Wtedy komputery będą samodzielnie sterowały statkami kosmicznymi i podróżującymi wśród gwiazd.

Jestem daleki od stwierdzenia, że nasi przodkowie wiedzieli o kolowiel na temat komputerów, zintegrowanych czy elektronowych aparatów pomiarowych. Ponieważ jednak jestem przekonany, że istoty pozaziemskie odwiedzały Ziemię, to uważam, że ich statki kosmiczne musiały być wyposażone w odpowiednią aparaturę. A skoro my, ludzie, jesteśmy zaprogramowani przez „bogów”, będziemy wkrótce panami tych cudów techniki.

Opracował
B. KRAKOWIAN

PLASTYKA

MIESZKANIEC WIEŻY Z KOŚCI SŁONIOWEJ

Malarstwo Kazimierza Mikulskiego to teatr. Teatr raz od strony widowiskowej, raz od strony kulis, ale teatr bez przerwy. Jest to malarstwo kameralne, postycyk-zabawowe, jarmarczne, a niemalże intelektualne, infantylne, czasem kokietujące pozorami „głębi filozoficznej”, po polsku a raczej „po krakowsku” surrealistyczne, bardzo cieplutkie i bardzo ładnie, często żadne, czasem dowcipne, literackie, kulturalne, bezkonfliktowe i bezproblemowe (wbrew pozorom).

Malarstwo to powstało w Krakowie, tuż tuż pod bokiem teatrów „Groteska” i „Cricot II” (z którymi Mikulski związany był i jest jako twórca scenografii, masek, a równocześnie jako aktor w sztukach Witkace-

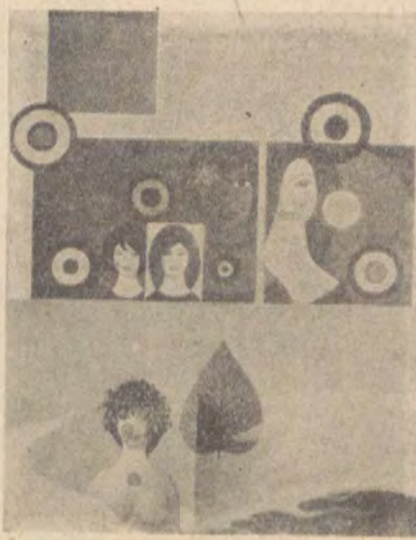
go „Kurka wodna” i „Nadobnie i koczodany”). Zatem i miejsce i sąsiedztwo zobowiązują. Dodajmy do tego, że Mikulski był swego czasu ulubionym malarzem „Przekroju”.

Oglądając dziś obrazy Mikulskiego doznajemy uczucia nudy i pewnego rodzaju zażenowania: oglądaliśmy je kiedyś z zachwytem i z niekłamną ciekawością, doświadczając dreszczu emocji wynikającego z faktu spotkania z awangardą. Nie znaczy to, że obrazy Mikulskiego „zestarzały się”. Nie, nie miały one w sobie nic, co mogłoby się zestarzeć — był to bowiem teatr dla teatru. One stały się po prostu nudne, a ich urok wyparował i rozwił się. Tak już jest, że jedne awangardy starzeją się klasycyzując, inne stają się ariergar-

dami, a jeszcze inne zamieniają się w barchanowe ciotki.

Teatr Mikulskiego zamknął się sam, bo inne sztuki weszły na afisz; rekwizytornia teatru porasta pajęczyna, zaczarowane dorożki odjechały dokąś... Dzisiaj — jest to moje odczucie subiektywne — malarstwo Mikulskiego nudzi, trochę żenuje i denerwuje. Właśnie, denerwuje. Denerwuje wydumaną poetyką ptaszków, kotków, gołych dziewcząt, rozrzuconych włosów, roślinek... Ot, dekoratornia produkująca rekwizyty do niczego nieprzydatne, które zatrzały wszelkie znaczenie, które niczego nie symbolizują (czy kiedyś naprawdę symbolizowały cokolwiek?), nie nie znaczą. Estetyka dla estetyki, dekoracja dla dekoracji, słowo dla słowa. Między Bogiem a prawdą — treści żadnej. Dzwonki z papiermaché.

Porębski pisał swego czasu o Mikulskim: „Twórczość Kazimierza Mikulskiego kojarzona niejednokrotnie z surrealizmem i zapewne słusznie, bo nie ma chyba w Polsce artysty, który by również jak on walczył w samą istotę surrealistycznej dyscypliny i surrealistycznej inspiracji. Bliskość mu są — ścisłość i precyzja poetyckiego zapisu, odrzucenie logiki przedmiotowej zarówno jako logiki formalnej, czystej, automatyzm znaczeń, wykrywający ich niespodziewane, a przecież konieczne połączenia, zasada nieukrywania i niepomijania niczego, co w ten sposób zostało wydobyte i utwierdzone, aż po absurd, naiwność i stereotypowość włącznie.



Fot. Archiwum

Od twórczości klasyków surrealizmu różni jednakowoż Mikulskiego coś — co sprawia, że przy całej bliskości założeń nie jest on po prostu ich kontynuatorem: moment trochę sceptycznej refleksji. Mikulski bynajmniej nie ukrywa, że powołane przez niego układy są układami konstruowanymi, że ich automatyzm nie jest całkowicie dziewiczy, a rodzica się z niego poezja znaczeń, całkowicie niezamierzona.

Cóż z tych konstrukcji? Co po poezji znaczeń, kiedy wszystko się dzieje w wieży z kości słoniowej?

Jestem przeciw wieżom z kości słoniowej i przeciw ich mieszkańcom. Wolno im, wolno i mnie.

ANDRZEJ GRUN

TEATR

SERCE NA SPRZEDAŻ

Autor „Serce Luigiego” wystawionego ostatnio w Teatrze Ziemi Łódzkiej, Ivan Bukovec jest jednym z popularniejszych w Stowacji dramaturgów i scenarzystów filmowych. W Polsce znany jest przede wszystkim jako autor sztuki „Nim kur zapieje”, przedstawiającej moralne skutki terroru hitlerowskiego szalejącego po Powstaniu Stowackim w roku 1945. „Serce Luigiego” albo „Egzekucja” tym samym (w przekładzie Jerzego Pleśniarowicza) podejmuje również temat wszystkich żywo obchodzący, a mianowicie problem transplantacji serca. Bukovec nie interesuje jednak medyczne strony tego zagadnienia, a więc także i te, które dotyczą zasad obowiązujących każdego lekarza, kiedy ma rozstrzygnąć o życiu i śmierci.

Sztuka dzieje się w czasach, kiedy prze-

szepianie serca nie przysparza kłopotów medycynie i zawsze polepsza zdrowie chorego. W tej sytuacji zdrowe serce staje się towarem, za które warto zapłacić najwyższą cenę. Do Sycylii przyjeżdża Lombardi, skazanego na śmierć za podwójne morderstwo z zazdrości, zgłaszając się więc najrozmaitsi ludzie, aby wyludzić od niego serce. A placą za nie różna moneta: dolarami, ciałem młodej dziewczyny, sprzeniewierzeniem się miłości.

Utwór nie jest wolny od akcentów publicystycznych, od schematyzmu w naszkicowaniu konfliktów i postaci. Sposoby, w jakich Bukovec demaskuje amerykański system wartości, są również nazbyt powierzchowne i mało oryginalne. Mimo to sztuka przyjmowana jest żywo. Nawet akt-

trzeo! przyciąga uwagę, chociaż autorem ma w nim niczego nowego do powiedzenia. Już przecież wcześniej okazało się, że Luigi utracił bezpowrotnie miłość żony nie będzie dalej walczyć o życie. Mógł więc nam dramaturg oszczędzić sceny linczu (parasolkami), mógł też nie kompromitować w dalszym ciągu przedstawicieli amerykańskiego społeczeństwa, gdy już w akcie drugim jasno udowodnił, że na miłość człowieka zasługują tylko jeden — Luigi Lombardi, gangster, morderca.

Jeśli jednak przedstawienie w Teatrze Ziemi Łódzkiej przyciąga publiczność, to duża w tym zasługa wszystkich jego wykonawców. I nie jest to grzeszczący zwrot, ukrywający prawdziwą ocenę czy też pusto brzmiąca formuła. Regularnie oglądam premiery w tym teatrze i nierzadko zdarza mi się widzieć tutaj prace na niezadawalającym poziomie artystycznym. Dotkliwych rozczarowań dostarczały głównie aktorzy, najczęściej fałszywi w każdym słowie i każdym geście. „Serce Luigiego”, na szczęście, nie dostarcza takich przykrych doznań. Jest zagrane na wyrównanym, bardzo przyzwoitym poziomie. Odstaje od niego tylko Barbara Dzi-Łelińska (Donja Dolores) nadmiernie ruchliwa i ostra w grze. Sporo ułamekności aktorskich ujawnił natomiast wykonawca tytułowej postaci, Jerzy Jończyk, mający poczucie efektu komedijnego, odznaczający się wyrazistą mimiką a przy tym szczęśliwie unikający pułapki, jaką krył sycylijski temperament bohatera sztuki. Jak zawsze kulturą sceniczną wyróżniali się Zbigniew Bielski (Frank Morris), Romigusz Rogacki (Major James Applegate) i Henryk Dudziński (Mitchell). Również Tadeusz Trygubowicz (Benny Mc Leud), Barbara Więckow-



Fot. Archiwum

ska (Jezebel), Joanna Jaszczura (Diana) przekonująco zagrały swoje role. Spektakl ujął mnie jeszcze i coś, co nieczęsto gościło na tej scenie — zbiorową dyscyplinę aktorską.

ANNA KULIGOWSKA

Ivan Bukovec, „Serce Luigiego” albo „Egzekucja” tym samym, przekład: Jerzy Pleśniarowicz, reż. Jan Perz, scen. Elżbieta Iwona Ditych, opr. muzyczne: Bronisław K. Przybylski, polska prapremiera w Teatrze Ziemi Łódzkiej 23 marca 1975 roku.

ŻYWIŁY W CUGLACH

Żywioły, które rozpętał Szekspir, aby zakłócić je w strukturę moralitetu, ujął w ujęcie intelektu Witold Zatorski, reżyser „Burzy” w Teatrze im. Stefana Jaracza. Zmusił do zwolnionego rytmu nie tylko materię dramatu, ale i Prospera — Stanisława Jaroszyńskiego, który przekład Leona Ulricha podaje w rytmie lento. A że

Prospero obdarzony jest oszardziejską władzą — cały świat odsoniety przez reżysera „dzieje się” jak na zwolnionej taśmie filmowej. Ten zwolniony rytm wcale nie pomaga w odbiorze, nie utrwała „zwinnego widowiska”, aby po wyjściu z teatru nie zniknęło „bez śladu”. Kiedy wychodzi się z „Burzą”, oszo-

wiek — na mgnienie odbiorca — zastanawia się, czy to, co proponuje grupa artystów jest propozycją na serio, czy tylko gra i złudą zmyśłów i intelektu.

Wybór zwolnionej narracji zdaje się wskazywać na przewagę słowa w spektaklu, a jednak owo verbum nie jest tak ważne skoro wybrano przekład Leona Ulricha o dynamicznej poetyce, bardziej „działającej” niż „słuchowej”. A i aktorzy czują się w tej pełnej konsekwencji intelektualnej strukturze obojętnie.

Na czym polega owa „konsekwencja intelektualna” i „obecność emocjonalna”? Pierwsza na precyzji w pokazaniu świata w konwencji abstrakcji organicznej, druga na wtopieniu w ten obcy świat aktora „organicznego”. W teatrze te dwa elementy wykluczają się, choć współbrzmia one w malarstwie autora scenografii „Burzy”, Tadeusza Brzozowskiego („Baloniki”, „Dół”).

Sam bowiem obraz sceniczny zaskomponowany w rozproszonych i zupełnie arcyśmiałych „smugach” oszołocenia i białej uszy-

pełnionych „wykrzyknikami” nasyconej czerwieni, stanowi przez chwilę ciekawy, fascynujący komponent artystycznej wizji. Natomiast, kiedy ruch sceniczny napętnia ten świat dynamizmem, kompozycja zalaśnie się nagłe i wszystkie znaczenia przewartościowują się i niejako usamodzielniają (sfera dekoracji — sfera kostiumu). Aktor pozostaje bezbronny w owym obcym świecie i gubi się niezależnie od warunków, możliwości indywidualnych itp. Aktor spełnia tu rolę raczej narratywną, lektorską niż kreacyjną.

W „Burzy” Witolda Zatorskiego i Tadeusza Brzozowskiego „wyspa jest światem, świat jest teatrem, wszyscy są na nim aktorami”, oprócz... samych aktorów!

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

William Shakespeare „Burza”, przekład: Leon Ulrich, reżyseria: Witold Zatorski, scenografia: Tadeusz Brzozowski, muzyka: Bronisław K. Przybylski, polska prapremiera na scenie Teatru im. S. Jaracza 22.III.75 (4.III.75)

KSIĄŻKA

TEMAT MIŁOŚNY

Książka Marii Kornatowskiej „Filmy o miłości” została wydana przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, w serii „Mały Leksykon Filmowy”. Wbrew pozorom jest to stwierdzenie ważne, bowiem ocenianie książki nie sposób w tym wypadku nie utożsamiać z ocenianiem w zakresie literatury filmowej.

Wydawniczy projekt bardzo rygorystycznie zdecydował o charakterze tej książki, jak i czterech poprzednich wydanych w tej serii. Ich kolejne tytuły zostały podyktowane wyobrażeniami potrzebami masowego widza kinowego, który poszukuje na ekranach filmów kryminalnych, sensacyjnych, fantastycznych, naukowych, filmów serca i szpady oraz filmów o miłości. Poszukuje na ekranach, to nie znaczy wcale, że poszukuje na półkach księgarskich, że próbuje swoje kinowe emocje zracjonalizować i wypełnić wiedzą historyczno-filmową. Podejrzewam zatem, że zwykły amator kina, który filmowy seans traktuje jako formę relaksu, dość obojętnie przegląda pozycję „Małego leksykonu filmowego”. W podejrzeniu tym utwierdzają mnie znajomi księgarze, którzy nie dostrzegają gorączkowego nopytu na tę serię. Mija się ona bowiem w sposób dość istotny z charakterem zainteresowań tej części audytorium filmowego, która w filmie dostrzega bardzo istotny element współczesnej kultury artystycznej. Mija się również z prądem rozwojowym kina, za którym podąża poznawcza ciekawość ambigenego widza.

Truizmem musi być przypominanie wydawcy specjalizującemu się w tematyce filmowej, że potencjalnym odbiorcą jego pozycji jest widz, który nie idzie już do kina powodowany przede wszystkim atrakcyjnością gatunkową lub tematyczną filmu. Owszem, atrakcyjność ta nadal odgrywa decydującą rolę w praktyce kinowej dystrybucji, lecz kinomani zainteresowany filmową książką, kupno biletu uzależnia częściowo od nazwiska reżysera lub tytułu filmu należącego do określonej szkoły, prądu czy formacji.

O takim świadomym i pogłębionym stosunku do X Muzy świadczy ogromna liczba członków Dyskusyjnych Klubów Filmowych i widzów kin studyjnych, czyli tych, którzy świadomie przeżywali burzliwe dzieje współczesnego kina, a także orientują się w jego historii. Pula ich aspiracji poznawczych i intelektualnych lokuje się grubo wyżej, aniżeli zamierzony przez wydawcę profil „Małego Leksykonu Filmowego”. Dzięki nim bowiem zniknęły z księgarń kolejne, często znakomicie napisane książki z serii „X Muza”, ambitnego przedsięwzięcia prezentującego monografie wybitnych reżyserów i prądy artystyczne współczesnego kina. „X Muza” współbrzmiała z charakterem zainteresowań wytrawnych kinomanów i ze stylem ich filmowej refleksji, spełniała ważne cele edukacyjne i kulturowe. Jej niepodważalne zawieszenie na rzecz bardziej popularnej formy leksykonu wydawca tłumaczył zbytnią elitarnością „X Muzy”. Warto tu może dodać, że zbliżone w zamysle francuska seria „Cinéma d'aujourd'hui” czy angielska „Movie paperbacks” sięgają już kilku dziesiątek tytułów. „X Muza” skończyła się na zaledwie trzydziestu tytułach. Rozmowa, które odebrało rację bytu tej serii jest znamiennie dla naszego myślenia o kulturze w ogóle. Bowiem leksykon popularnych gatunków filmowych mógł i być może, winien powstać, lecz obok „X Muzy” a nie zamiast niej. Ta redukcja polegająca na niedostępnieniu zbliżonej społecznie potrzeb kulturalnych hamuje miast przyspieszać harmonijny rozwój kultury filmowej.

Te dyalematy zna doskonale Maria Kornatowska, dwukrotna kontrahentka WAIF — raz z okazji świętej monografii Felliniego nie należącej bezpośrednio do „X Muzy”, ale wyrosłej z jej ducha, a dwa z okazji „Filmów o miłości”. Notując książkę o Fellinim zostaje wykreślona, co stanowi najlepszy dowód nie tylko kunsztu krytycznego autorki, ale również żywej potrzeby czytelnicej.

Temat, który Kornatowska podejma na wydawnicze zlecenie przetrząsa swoim ogromem. Miłość jest motywem w historii kinematografii najbardziej powszechnym, wątkiem najbardziej uniwersalnym, nieomal samą esencją kina. Miłość w filmie była przedmiotem dywagacji wielu autorów, by wymienić najważniejszych: Ado Kryn, Lo Duca, Raymond Dugan i inni. W obszernym szkicu historycznym Kornatowska daje efektowną próbę krytycznej tematyki. Pokazuje jak miłość w filmie zmieniała swój wzór kulturowy, jakie przybierała postacie i konteksty. Próbuje inkarnacje definiować jej narodową specyfikę. Zastanawia się nad filmowymi inkarnacjami „odwiecznych” związków Erosa z Tanatosem, analizuje różnice i zależności pomiędzy miłością a erotyzmem i seksem. Rozdział wstępny zamyka uwagami poświęconymi anemicznemu próbom filmowej miłości i „erotyzmu po polsku”. Erydykcyjna swoboda, z jaką porusza się w historii kina jest imponująca. Problemowe bogactwo, które autorka musiała zamknąć w wąskich ramach przewidzianych wymogami wydawniczymi zdradza materiał na książkę znacznie obszerniejszą o charakterze monograficznym a nie leksykonowym.

W drugiej części Kornatowska przedstawia kilkadziesiąt najbardziej reprezentatywnych filmów poświęconych miłości od „Spotkania” Davida Leana do „Ostatniego tanga w Paryżu” Bernarda Bertolucciego, stencjonując je i opatrując interpretacyjnym komentarzem. Jej wybór obejmuje nie tylko filmy znane z polskich kin (tu zaskoczony odnotowałem brak „Szczęścia” Vardy), ale również u nas nie oglądane. Te krótkie prezentacje są świetnie napisane, stylem zwinnym, a błyskotliwym i sugestywnym. Jednakże po zamknięciu książki rodzi się żal, że temat, który miał tak kompetentną autorkę został z winy wydawnictwa zaledwie częściowo zrealizowany.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Maria Kornatowska, „Filmy o miłości”, Warszawa 1975.

SPRAWY LUDZI

STARCY

Byłem u starców. Przyjęli mnie ciekawie, nieufnie i życzliwie. Postawili mnie w łóżku na gościnnej podłodze. Starzy ludzie pokiwali głowami: „Proszę postawić walizy na szafie”. Wsunęłam ją do kieszeni. „Proszę położyć wygodnie, w łóżku”. „Czy tutaj jest dobrze?” — zapytałem starzych ludzi. „Tutaj jest dobrze dla tych, którzy są potrzebni” — odpowiedzieli starzy ludzie. Starzy ludzie mieli mnie na oku przez długie dni i tygodnie. Wiedziałem, że otworzyli sobie i obejrżeli moje walizy, obmacali i ocenili odzież i buty. Sprawdzili też i wypróbowali moje pędzle, szczotki, mydła i pasty i kremy. Rejestrowali porę opuszczania mieszkania i czas powrotu, baczili czy jem dużo, czy mało, starali się ustalić gdzie i jak intensywnie pracuję, ile zarabiam, na co wydaję pieniądze, z kim i o czym rozmawiam, w co wierzę i w czym pokładam nadzieję, a w co zwątpiłem — czego dokonałem i czego dokonać zamierzam... z pilnej obserwacji moich sznurówek i paska do zegarka, ze sposobu przyszywania guzików, ustallili bezbłędnie stopień mojej zrzeczności, a nawet walory i mankamenty moralne. Sledzili mój oddech i kaszel i śpiew — poznali przez sennie mamrotanie — trudno mi stwierdzić, czy zdołali ustalić kształt i matnię moich wizerunków sennych. Szczególnie pilnych analiz stał się sposób obcinania paznokci, czesania włosów. Powoli z obiektem poznawanego stałem się towarzyszem nieurojonej pasji poznawczej starzych ludzi...

Nigdy nie wiedziałem, że mam tyle cech, wad, zalet, sprawności i błędów — myślałem, że jestem prosty jak kamień, a oto starcy ukazali obecne we mnie kontynty i czardziejskie wyspy, nędzę i bogactwo. Od pewnego dnia — pozornie podobnego do innych — poczęliśmy wspólnie analizować moje natogi, sposób stapania, perspektywy życiowe... „Pan jest... Pan powinien... Niech Pan natychmiast... Jak Pan tak może... Trzeba aby Pan... Ja... Ja... bełkotalem pracowicie wytwarzając tło dla uwag, rad, pocużeń.

Najstarszy ze starców apelował do mnie w pewnej kwestii, która wtedy wydawała mi się absolutną i ostateczną, a która następnego dnia, ba, po godzinie została całkowicie zapomniana. Proces analizy i poznawania został już zakończony. Jak zespół zgranych inżynierów budowlanskich teraz modele, konstrukcje łosy, ustalaliśmy kardynalne zasady, niezłomne założenia. Stara kobieta, która daremnie marzyła o szczęściu rodzinnym — doradzała mi założenie rodziny. Starzec, który pragnął niegdyś zostać wielkim malarzem surowo nakazał mi chwytać za pędzle i farby, ktoś krzychał abym wznosił domy, szukał szczęścia w kartach. Pojąłem, że jestem własnością tych ludzi, ich kontynuatorem, kimś, kto ma spełnić to co nie spełnione. Byłem pełen zapалу, gotów poświęcić życie, dla tysiąca sprzecznych spraw. Powoli zapominałem, szczegóły — niezawodne środki, szczytne cele. Pozostała pamięć jednego tylko bezczystnego, lecz krzepiącego wzniesienia, którym obdarzyli mnie starzy ludzie.

BERNARD SZTAINERT

LISTY

Milo mi zameldować uprzejmie, że w czasie wiosennej wiołowej po kraju znalazłem Wasze „Ogłoszenia”, spodobały mi się i zapamiętałem je na drugi kwartał br. Żaluję tylko, że zrobiłem to tak późno.

Uprzejmie proszę nie brać moich słów za suchy frazes. Gratuluję artykułów: J. Babińskiego, J. T. Sicińskiego, M. Rodakowi i w ogóle wszystkim pozostałym, za porządkiem, jak „leca”.

Szczególnie ukłony przesyłam p. Janiszewskiemu za jego „Wienawę”, którego znalazłem jako rodaka z miłej wioski, a nie wiem gdzie skończył ten generał i dyplomata, bo w rodzinnej wsi Lipnica Wielka koło Grybowa nikł nie pozostał z jego rodziny, chyba gdzieś w świecie jego córka.

Sciskam dłoń p. Jacka Bromskiego, niechciałbym tylko wystawić swojego górskiego pyska waszemu karykaturyzującemu. Ażbyście, a tym bardziej znaleźć się pod ostrzałem pani Ewy Nurczyńskiej, to musi być bardzo pyskista i rozpusta do śpiku kości biologiczna, niech!

Wszystkich pp. redaktorów harem serdecznie pozdrawiam i — znikam.

Przełancowane i sfrustrowane
góralsko
(Płowacz, pow. Brodnica
Nazwisko znane redakcji)

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



Fot. G. Puciato

Roman Łoboda urodził się 12 lutego 1919 roku we Lwowie. Tam też uczęszczał do szkoły średniej, a po jej ukończeniu rozpoczął studia muzyczne w Konserwatorium im. Szymanowskiego, przerwane wybuchem wojny 1939 roku. W czasie okupacji — jak stwierdza w wypowiedziach o sobie — studiował amatorsko filozofię, socjologię i matematykę. Po wojnie ukończył stomatologię w Akademii Medycznej w Łodzi i podjął praktykę lekarską w Zielonej Górze.

W czasie pobytu na Ziemiach Zachodnich rozpoczął pracę dziennikarską, publicystyczną i ściśle literacką, współpracując do roku 1956 z wieloma łódzkimi pismami, m. in. z „Tygodnikiem Zachodnim”, którego przez okres jednego roku był redaktorem. W roku 1954 zadebiutował jako poeta na łamach tygodnika „Dziś i Jutro”. Po powrocie do Łodzi kontynuował zajęcia profesjonalne, większą jednak wagę przywiązuje do twórczości literackiej. Jego wiersze, opowiadania i fragmenty prozy drukowane były w „Twórczości”, „Życiu Literackim”, „Współczesności”, „Poezji”, „Ogłoszeniach” i w innych pismach literackich i kulturalnych. W przekładzie z angielskiego publikowały je czasopiśmiś „Kulturalna Tworba” i „Literarni Noviny”. W roku 1969 został członkiem zespołu redakcyjnego „Ogłoszeń”. Intensywną działalność przerwała tragiczna śmierć. Pisarz zginął w katastrofie samochodowej pod Sochaczewem 25 sierpnia 1972 roku.

ROMAN ŁOBODA

Książkowym debiutem Łobody był tom poezji „Szósty smak” (WL, 1959). W latach późniejszych opublikował poeta jeszcze trzy zbiory wierszy: „Wspomnienie drzewa” (WL, 1963), „Okrągły sen” (WL, 1967), „Rzeźbienie horyzontu” (WL, 1972). Równolegle z poezją ogłaszał tom prozy. W roku 1963 ukazała się powieść „Korzenie obok rzeki”. W dwa lata później powieść „Podwójny rozdział”, za którą pisarz otrzymał II nagrodę (pierwszą nie przyznano) w konkursie ogłoszonym przez Oddział Łódzki ZLP i Woj. Radę Narodową na powieść o Łodzi, związaną tematycznie z 20-leciem PRL. Zbiór opowiadań „Skoki” opublikowało Wydawnictwo Łódzkie w roku 1967. Powieść „Cena miłości” (WL, 1971) stanowiła drugą, zmienioną redakcją „Korzenie obok rzeki”. Ponadto Łoboda opracował i przygotował do druku publikację „Festiwale” (WL, 1970), zawierającą cenniejsze wypowiedzi krytyków i poetów o polskiej poezji powojennej.

Poezja Romana Łobody nie poddaje się prostym i jednoznacznym uogólnieniom interpretacyjnym. Trudno dobrać klucz oświetlający wewnętrzne jej obszary. Niekiedy powątpiewa się, czy taki klucz w ogóle istnieje. Naczelna cecha warsztatu poetyckiego autora „Okrągłego snu” jest maksymalne intelektualizowanie materiału przeżyć i doznań zmysłowych w warstwie słownej wiersza. Nie ma w tej poetyce miejsca na bezpośrednie liryczne wyrzuty, czy też na wprost wyrażoną konstatację doświadczonej rzeczywistości. Myśląwa zasadę porządkująca utwór podkreśla skrótość, lapidarność ujęć, zwięzłość

obrazów, szeregowanie obok siebie słów — pojęć o odległych polach semantycznych, tak, by możliwie dokładnie rozrzedzić jednoznaczność skojarzeń wywołanych metaforą. Pomijanie ogniw łączących w funkcjonalne związki znaczeniowe poszczególne obrazy czy pojęcia prowadzi niekiedy do werbalizmu i pełnej niezrozumiałości wiersza, w którym autonomiczne znaczenie uzyskuje sam walor dźwiękowy wyrazu, muzyczność konstrukcji składniowej i ekspresja całości („Geometria”, „A” z tomu „Szósty smak”). Wiersz Łobody z reguły jest rebusem, zagadką, której rozszyfrowanie wymaga znacznego wysiłku intelektualnej odbiorcy. Wymienione cechy sytuują tę poezję w kręgu tradycji poetyki awangardy krakowskiej. Poeta przynależał do zresztą do tych powinowactw z wyboru. Bardziej zapewne młowie, ale wyraźne są powiązania warsztatowe i myślowe liryki Łobody z poezją Białoszewskiego i Różewicza. Z tym pierwszym łączy twórcę „Szóstego smaku” podobne uwarunkowanie na „poetyckość” rzeczy, przedmiotów codziennego użytku, ich funkcji w kształtowaniu uogólniającej wizji świata; dostarcza ona także pewne zbliżenie do konstruowania samego toku wypowiedzi lirycznej („Sruba”, „Klamka”, „Mechanika stwarzania świata”, „Golomyślnica”, „Poezja” z tomu „Szósty smak”). Podobieństwo z Różewiczem ujawnia się w manifestowaniu zbliżonej postawy poznawczej wobec rzeczywistości. Poeta będać częścią świata próbuje opisać ten świat z pozycji widza i równocześnie uczestnika. Nieprzystawalność obu planów, odmiennie perspektyw, uświadomienie niemożności sprowadzenia zadani, stwierdzenie obcości makrokosmosu świata i mikrokosmosu człowieka współczesnego — wszystko to współtworzy dramat ludzkiej egzystencji, któremu wyraz stara się dać Łoboda w swojej poezji. Słży temu między innymi język jego wierszy: nasyconie słownictwem z dziedziny fizyki i matematyki oraz szczególna predylekcja do łamania, skracania i przekształcania wyrazów, tworzenia z nich anagramów, kalamburów, swolnych neologizmów, żartów słownych. Podejmując problematykę ontologiczną poeta parafrazuje często mity biblijne, wykorzystuje formę przypowieści, „fabularyzuje” wiersz, nadając mu niekiedy zmałona groteski podstępnej ironii wobec tematu lub autolironii („Przypowieści”, „Kozia”, „Jedność”, „Droga”, „Kołowrót” z tomu „Rzeźbienie horyzontu”).

Inny obraz przedstawia proza Łobody. Uwalnia się w niej pisarz spod surowych rygorów konstrukcyjnych i intelektualnych, jakie narzucał sobie w poezji. „Korzenie obok rzeki”, spełniające wszelkie wymogi powieści sensacyjnej, są historią dwóch bohaterów uwikłanych w podstawowe konflikty okresu powojennego na Ziemiach Zachodnich. Wielki exodus ludności ze wschodu na

zachód, zetknięcie się różnych kultur i psychik indywidualnych, procesy integracyjne wyzwolonych ziem z matczyną, problemy narodowościowe, działalność Wehrwoltu, wreszcie obciążenia wojenne — to tło i równocześnie determinanty działań, postaw i konfliktów moralnych postaci powieściowych, ukazanych z dużą wnikliwością psychologiczną oraz znajomością realiów społeczno-politycznych tamtego czasu i miejsca.

Akcja „Podwójnego rozdziału” rozgrywa się również bezpośrednio po wojnie, lecz przeniesiona zostaje do Łodzi, choć miasto jest tu raczej ornamentem niewiele fabularnie znaczącym, a obserwacje środowiskowe mają ogólniejszy, niekonkretnie łódzki, charakter. Powieść posiada nadto drugi plan czasowy — ujęty retrospektywnie czas wojny. Na płaszczyźnie tych dwóch czasów przedstawia pisarz losy człowieka, który wskutek kontuzji głowy odniesionej w czasie wojny utracił pamięć i który ustawicznie wraca myślami do przeszłości, próbując odsłonić tajemnice własnej biografii. Podejmując nienowym motyw, często wykorzystywany w literaturze popularnej, Łoboda uatrakcyjnia go i odświeża, w czym pomaga mu niewątpliwie wiedza medyczna. Bohater tropi w przeszłość z pasją wewnętrznego imperatywu, przekonany, że jego dalsze życie możliwe będzie tylko w wypadku, jeśli dokona rekonstrukcji i rozliczenia z przeszłością. Tok dwutorowo prowadzonej narracji, ujmującej celowością i uzasadnioną sytuacją cierpiącego na amnezję człowieka, podnosi walory poznawcze i artystyczne powieści.

Zbiór opowiadań „Skoki” reprezentuje typ prozy psychologiczno-środowiskowej. Tematycznie opowiadania mieszczą się w kręgu odwiecznych, „egzystencjalnych” problemów człowieka: sensu życia, śmierci i miłości, nieprzystosowania do warunków, w jakich żyć wypadło, lęków i obsesji, przemijania czasu i znikomości ludzkich dokonań. Bohaterowie Łobody są czynni: usiłują zmienić swe życie, widzą się innymi, bo innymi być pragną, określa ich niezgoda na siebie samych i otoczenie. Mitologizują więc własną przeszłość, oklamują siebie w nadziei wyrwania się z niej, szarej codzienności. Humanistycznej wymowie opowiadań nie przeczy, a raczej ją pogłębia, ujawniona już w poezji skłonność pisarza do ujęć groteskowych, do ironii pomieszczonej z humorem.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

Postać i dzieło wielkiego polskiego historyka-demokraty Joachima Lelewela nie przestają interesować badaczy różnych krajów. W ostatnich latach szczególnie wiele nowego powiedziano o J. Lelewelu w historiografii radzieckiej. Jest to konsekwencja zainteresowania radzieckiej nauki historycznej dla problematyki historii polskich ruchów demokratycznych w XIX w., do której radzieckie archiwa i biblioteki dostarczają mnóstwo nieznanych dotychczas materiałów źródłowych. Nowe znaleziska źródłowe pozwalają na odsłonięcie nierozpoznanych dotychczas stron aktywności wielkiego historyka, zaś w szczególności jego kontaktów z Rosją i Rosjanami, o których dotychczas wiedzieliśmy bardzo niewiele. Tym też zagadnieniem poświęcił swoją książkę Borys Siemionowicz Popkow, zatytułowaną: „Polski uczonej i rewolucjonista Joachim Lelewel. Rosyjska problematyka i kontakty”, ogłoszoną przez Instytut Słowiańszczyzny i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR w wydawnictwie „Nauka” w 1974 roku.

Niewielka rozmiarami, ale bogata w treść książka B.S. Popkowa zasługuje na baczną uwagę. Autor zajął się w niej z jednej strony omówieniem problematyki rosyjskiej w twórczości i działalności wielkiego polskiego historyka, z drugiej zebrał świadectwa o licznych jego kontaktach z Rosjanami oraz opinie różnych rosyjskich środowisk o uczonej, z przetrzeń całego wieku XIX. Dopiero wyzyskanie nieznanych materiałów rękopiśmiennych pozwoliło badaczowi ukazać, jak wiele było ich takich w okresie, kiedy Lelewel bawił na emigracji, a wszelkie stosunki z nim były więcej niż niebezpieczne dla każdego obywatela imperium Romanowów. Dopiero zebrana przez B.S. Popkova dokumentacja źródłowa pozwoliła na pogłębienie naszej wiedzy o tym, jak odnosiła się do Lelewela „oficjalna” carska Rosja, przedstawicielstwo aparatu władzy, jak zaś środowiska postępowej opozycji, rewolucjonistów i demokratów, wybitni uczeni i pisarze, którzy wypowiadali się o J. Lelewelu z najwyższym szacunkiem, nie raz też podczas zagranicznych podróży stawali przed drzwiami jego brukuelskiego mieszkania. Carska władza uważała J. Lelewela za najniebezpieczniejszego przeciwnika:

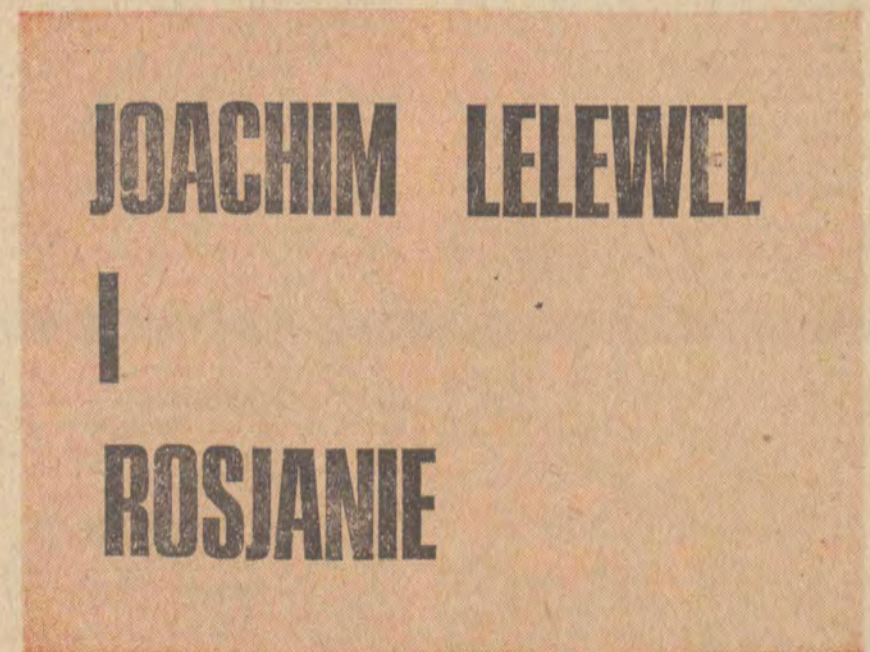
policyjni agenci caratu, od których roko się w Europie, otrzymali specjalnie ważne zadania donoszenia o wszystkim, co dotyczyło polskiego historyka. W cesarskim już fakt posiadania takiej roki, wiek z książek J. Lelewela, nawet wydanej w okresie przedpowstaniowym, stanowił wystarczającą podstawę do podejrzeń, a nawet aresztowania i zsyłki. Zakaz wspomniania o Lelewelu w druku był skrupulatnie przestrzegany. Dopiero od 1949 r. cenzura zaczęła dopuszczać do

zoru, który przepuścił artykuł, znaleźli się w twierdzy pietropawłowskiej, zaś cała sprawa była omawiana przez radę ministrów. Dnia 16 marca tego samego 1859 r. minister oświaty rozesłał do okręgów naukowych okólnik, w którym przypominał o zakazie wymieniania nazwiska Lelewela w druku. Te i tym podobne poczynania władz budziły oburzenie nie tylko w środowiskach demokratycznych, lecz również wśród intelektualistów ustosunkowanych lojalnie do

ganow na pewno do opozycji nie należał, ale darczył polskiego uczonego tak wysokim autorytetem, że gotów był narazić się na niezadowolone władzy, a z możliwości utrzymywania z nim naukowych kontaktów nie rezygnował.

Brukuelskie mieszkanie historyka odwiedził jeden z najbliższych przyjaciół A.S. Puszkina, S.A. Sobolewski (1836), w 1837 r. był u niego prof. Kozarin. Polski historyk utrzymywał bliskie stosunki z M.A. Bakuninem, z jego przyjacielem P.W. Annenkovem. Wśród rosyjskich gości Lelewela był oczywiście A. Hercen, odwiedzał uczonego historyk M.P. Pogodin. W 1858 r. był u J. Lelewela redaktor pisma „Russkij Archiw”, bibliograf P.I. Barteniew, na wiosnę 1861 r. odwiedził historyka L. Tolstoj... A przecież wiadomości o rosyjskich gościach w brukuelskim mieszkaniu polskiego historyka są bardzo ułamkowe, bowiem wizyty te ukrywano przed władzami, nawet sam Lelewel w swych listach, opowiadając o tych spotkaniach, rzadko wymieniał nazwiska swoich gości...

Co dopiero mówić o tych oznakach sympatii, z którymi spotykał się J. Lelewel w środowiskach rosyjskich demokratów i rewolucjonistów. Pisma Lelewela rozchwytywali działacze kół uniwersyteckich w Moskwie i Petersburgu, znali je „Sungurwoy”, „Pietraszewcy” i narodowcy, niejednokrotnie docierali do nich przy pomocy swych polskich kolegów. Książki Lelewela przenikały przez granice, były przedmiotem kontrabandy. Postępowa Rosja znała polskiego historyka-demokratę, pamiętała o nim, wysoko ceniła jego trud. Nieprzypadkiem na łamach jednego z rosyjskich czasopism w 1865 r. serbski demokrat 2. Zujewicz tak wyrażał stosunek postępowych środowisk rosyjskich do Lelewela: „Jak Czesi mogą być dumni z Husa, tak samo Polacy mogą się szczyć swym Lelewel”.



obiegu niektóre dzieła uczonego, dotyczące starożytności czy średniowiecza, historii powszechnej, geografii, bo oczywiście nie historii Polski i Rosji. Kiedy w 1859 r. zezwolono na to, aby wybitny sławista P.P. Dubrowski opublikował artykuł o naukowej działalności polskiego historyka, minister nie zgodził się na to, by z pracy tej sporządzono osobne odbitki. Opublikowanie przez J. Ohryzkie na łamach polskiej gazety, wydawanej przezeń w Petersburgu, dwóch listów Lelewela wraz z krótkim komentarzem zakończyło się nie tylko konfiskatą numeru, Redaktor pisma oraz cen-

caratu. O aresztowaniu J. Ohryzki i zamknięciu jego pisma z najwyższym oburzeniem pisał L.S. Turgieniew... A przecież czołowi rosyjscy uczeni z uwagą i nieskrywanym uznaniem śledzili twórczość J. Lelewela, poszukiwali jego książek, wzajemnie dostarczali sobie informacji o uczonej i jego dziełach. W 1837 r. kurator uniwersytetu moskiewskiego S.G. Siroganow starał się nawet o zgodę na... zamówienie u Lelewela krytycznego rozbioru historii rosyjskiej, oczywiście bezskutecznie. Nie przeszkadzało mu to przysłać uczonego do Brukuelskich naukowych książek. Hrabia Stro-



AUTENTYK

W roku 1949 młody łódzki malarz, artysta ZMP, skierowany został do pracy w aparacie bezpieczeństwa. W ten sposób pułkownik Jerzy Bronisławski trafił do kontrowersyjnego, gdzie pracował ponad dwadzieścia lat.

A potem przyszedł książka — „Niewidzialni w tłumie”. Zanim przyszedł o świecie, „Szabie i lechwie” i inne... Według tego scenariusza nakreślono film „Orzeł i reszka”. Łączny nakład książek Jerzego Bronisławskiego przekroczył pół miliona egzemplarzy. Były to zawsze książki z kręgu literatury faktu, często autor operował autentycznym „ktużem”, budując literackie funkcje swoich książek.

Ale dopiero ta książka, wydana w serii „Autentyki”, jest pamiętnikiem lat pierwszych choć i tu Bronisławski stosuje fikcyjny fabularny kostium — przecież jest to rzeczywistość, kiedy to na Wawelu wzięto mu berło sztuki polskiej. Przebieg w wyniku utraty własnej państwowości rządu marsz napierw przez narodową poezję, a potem także przez malarstwo, miało swoje znamienne następstwa i dla świadomości zbiorowej i dla samej twórczości.

„INTERREGNUM”

Interregnum znaczy bezkrólewie. W wyższym jednakże znaczeniu odnosi się do określenia do doby robotniczej. Tak właśnie użył terminu „interregnum” Jan Matejko, w trakcie uroczystości, kiedy to na Wawelu wzięto mu berło sztuki polskiej. Przebieg w wyniku utraty własnej państwowości rządu marsz napierw przez narodową poezję, a potem także przez malarstwo, miało swoje znamienne następstwa i dla świadomości zbiorowej i dla samej twórczości.

W drugim wsakże znaczeniu termin — interregnum — o-kreślał mógłby trwały status sztuki przetrzymywanej od wieków pomost między mitami przeszłości, a utopiami przyszłości. Tak formułuje znaczenie tytułu swojej nowej książki wybitny historyk i krytyk sztuki, Mieczysław Porębski.

Są to niezwykle ciekawe studia z historii sztuki polskiej XIX i XX wieku. Zaczyna się to książką od szkicu o polskim malarstwie alegorycznym na tle światowego nurtu. A potem mamy wspaniałą panoramę sztuki polskiej na przestrzeni dziesięcioleci lat. Jest więc szkic „Miejsce Władców”, an-tyteza o Michałowskim i Grotowskim, są rozważania o nadrealizmie; przypomina Porębski uniwersum Strzemińskiego... Słowno wszystko, co cenne i wartościowe w polskiej sztuce, znalazło się na kartach „Interregnum”.

I jeszcze jedno. Książkę napisał wybitny teoretyk i historyk i wydawać by się mogło, że będzie to rzecz raczej hermetyczna, dostępna wyłącznie profesjonalistom. Otóż nie podobnie! Szkice Mieczysława Porębskiego napisane prosto i jasno mogą stanowić lekturę każdego inteligentnego czytelnika, który o sztukach plastycznych i dziełach malarstwa chciałby się czegoś dowiedzieć.

Mieczysław Porębski „Interregnum”. Wyd. PWN, cena 30 zł.

„RAJ UTRACONY”

„Raj utracony” Johna Milтона ukazał się w 1667 roku, w epoce angielskiego oświecenia, wyrósł jednak z tradycji renesansu i baroku. Jest to jeden z największych poematów epickich, jakie powstały w kręgu kultury europejskiej i jest to jeden z największych poematów filozoficznych, mających za temat pochodzenie dobra i zła.

Polscy pisarze i czytelnicy zapoznali się z dziełem Milтона dopiero w dobie polskiego oświecenia, a więc trzy pokolenia później, w tym czasie aż trzynastu tłumaczy przekładało na polski „Raj utracony”, głównie jednak we fragmentach. Także fragmenty tłumaczyli poeci nam współcześni: Kaspro-wicz, Gajczyński, Miłosz.

W całości poemat Milтона przełożył: Jacek Przybylski w roku 1991. Władysław Bartkiewicz w roku 1992 i obecnie — Mieczysław Słomczyński. Wydawca twierdzi, że obecny przekład znanego tłumacza „Uliksa” jest pierwszym tłumaczeniem wiernym zarówno pod względem treści, jak i stylu. W obu-tem przekładzie głęboko myśliciel, szlachetny moralista i wspaniały poeta może przemówić na nowo swoim własnym głosem i głosem w pełni zrozumiałym dla dzisiejszego polskiego czytelnika. Warto więc wstrząsnąć w słowa poety i odkryć w nich wzniosłe ideały, tak samo żywe jak i w tamtej epoce.

John Milton „Raj utracony”. Przekład M. Słomczyński, Wyd. PIW, cena 80 zł.

„PARAGRAF 22”

Powieść Josepha Hellera przyrównuje się do „Przygód dobrego wojaka Szwejka”. Oczywiście wiele jest tu podobieństw, owym bohater „Paragrafu” także nie ma ochoty kazać na wojnę, także udaje wariata. Ale to już nie ta wojna i nie ten czas.

I właśnie owa odmienność tej wojny i tego czasu od spraw monarchii austro-węgierskiej sprawia, że powieść Hellera jest nowoczesna w formie i współczesna w warstwie filozoficznej książki o wojnie. „Paragraf 22” ukazał się w roku 1961 i zaraz też uznano tę powieść za jedno z najważniejszych literackich krytycyzów. Jeśli nawet pan Heller nie napisał już ani linijki, jego pozycja pozostaje ugruntowana.

Zanosilo się, że tak się stanie — Heller zamknął na 13 lat. Dopiero przed rokiem wydał następną powieść — tym razem nie o wojnie, lecz o współczesnej Ameryce. Mielny nadzieje, że i to pozycje polscy wydawcy udostępnią czytelnikowi.

„Paragraf 22” jest tragiczną, groteskową i śmieszną za-razem książką o amerykańskich lotniskach z drugiej wojny światowej. A sam paragraf 22 co znaczy? Głosi on: „Człowiek, który domaga się wycofania z działań bojowych, nie jest wariatem”. Paragraf ten stwierdzał więc, że troska o własne życie w obliczu zagrożenia jest objawem zdrowia psychicznego. Bardzo humanitarny paragraf. Ale działał on także w drugą stronę. Z lotów bojowych wyłączone ludzi o zachwianej przebiegłości wojennymi równowagami psychicznymi. Każdy jednak kto zażądał zwolnienia... dawał dowód swojej normalności więc musiał iść dalej. Paradoksalne błędne koło. Książka Hellera jest właśnie taka opowieść o wojnie jako o paradoksalnym błędnym kole.

Joseph Heller „Paragraf 22”. Wyd. PIW, cena 62 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

W.B. Pawlak — „Księga zamachów”. Iskry, cena 18 zł.
Ajschyllos — Antologia tragedii greckiej, W. Lit., cena 60 zł.
J. Gwiżdżomski — „Wspomnienia z Sachsenhausen”, W. Lit., cena 40 zł.
J.L. Peter — „Zasada Petera”, KiW, cena 15 zł.
J. Meissner — „Kapitan siedmiu mórz”, W. Lit., cena 30 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PIERWSZE MAJE

Kiedys pochody pierwszomajowe były pochodami walców i protestu, a na Wodnym Rynku, który dziś nazywa się placem Zwycięstwa nieraz padali zabici i ranni.

A potem nagle powiał wiatr historii i wszystko się odmieniło. Wiele mamy w bieżącym numerze „Odgłosów” publikacji o tamtych majach — w tym miejscu chce przede wszystkim przedstawić nam maj najbliższy, choć dzieli nas od niego aż trzydzieści lat. A to już był nasz maj, radosny maj...

Dziś pamiętnikarz wspomina na je z lekka i z humorem równocześnie, bo to już przecież także historia. Jerzy Jurandot pisze:

„Nadszedł 1 maja. Po raz pierwszy od lat — a wiek-szość, szczerze powiedziałem, w ogóle pierwszy raz w życiu — mieliśmy brać udział w pochodzie pierwszomajowym. Przed budynkiem Zarządu Miejskiego na Piotrkowskiej ustawiono trybunę przybrana czerwienią, cała ulica była pięknie udekorowana i świąteczna. Zebraliśmy się zgodnie z dyspozycją o pół do ósmej na Wodnym Rynku, skąd miał ruszyć pochód. Była nas po-kazna grupa — literaci z Bandurskiego, kilku malarzy,

aktorzy i pracownicy Teatru Wojska, aktorzy organizujące go się (skonczyło się wreszcie na organizowaniu) Teatru Miejskiego, wreszcie „Syrena”. Trzeba powiedzieć, że świąteczny i uroczysty nastrój udzielił się wszystkim bez wyjątku, czuliśmy się jak w obliczu niezwyklej i podniosłej premiery. Nie przystosowała się do nastroju jedynie pogoda: było zimno i śniadł dźwięk deszczu.

Kilka minut po dziesiątej z głosiłków rozległy się pierwsze słowa przemówień, a około jedenastej pochód wreszcie ruszył. Przemoczeni grun-townie i zniechęceni, byliśmy jednak nadal w podniosłym na-strój i co ważniejsze — w komplecie. Mijały jednak kwa-dranse i godziny, z bocznych ulic i uliczek wlewały się w pochód coraz nowe potężne grupy ze sztandarami i trans-parentami, a nas ciągle trzy-mano na prawie już opusto-szonym Wodnym Rynku. Co energiczniej próbowali inter-weniować u organizatorów, od-powiedź brzmiała jednak za-kładym razem tak samo: „Kultura na końcu, towarzy-sze, kultura na końcu!”

(...) W następnych latach po-chody organizowano coraz

sprawniej. Obawiam się jed-nak, że wynaleziony w pamięt-nym pierwszym dniu pierw-szomajowym slogan „kultura na końcu” zrobił nieoczekiwa-na karierę, rozpowszechnił się szeroko i ma niezwykle twar-dy żywot.”

Gwoli ścisłości dodajmy, że Jurandot pisał te słowa w ro-ku 1959, a więc przed szesna-stoma laty.

Szukałem i w innych książ-kach wspominających tamte lata relacji z tego pierwszego maja w wyzwolonej Polsce. Nie wiem, może źle szukałem, ale poza Jurandotem nie zna-lazłem nic. Jakoś umknęła nam ta sprawa — nam, myśle-pisarzom. A może to nie na-sza wina, przecież tyle było wówczas wlewców i manifesta-cji, że tamten pierwszy maj jak-ś zagubił się w pamięci? Wśród mnogości spraw „dni pierwszych”, w euforii wyzwole-nia, które przecież spełniło się przed niespełna czterema miesiącami — mógł się ów pierwszy pochód pierwszoma-jowy zatracić w naszej pa-mieci.

Wiele coś pozostało? Pozo-staje jak zawsze gazeta — wierna towarzysząca wydarze-nia, które niesie życie. „Głos Robo-tników” powstał w czerwcu, więc już „nie chwycił” tego pierwszomajowego pochodu ro-ku 1945. Pozostał „Dziennik Łódzki”.

Ale tu dopiero ujawnił się a-cała wyrazistość fakt, że to już Historia. W archiwach „Dziennika Łódzkiego” nie ma rocznika z 1945 roku. Ba, nie ma również rocznika z 1946... I dopiero w numerze z 1 maja 1947 roku znalazłem informację: „Na życie politycznym kraju od paru tygodni wyciskają piętno przygotowa-nia do obchodów święta 1 Maja. Partie robotnicze obli-czają swoje szeregi, wzmacnia-ją więc organizacyjną, ustala-ją programy uroczystości.”

Ten sam numer „Dziennika Łódzkiego” przynosi tekst wspólnej odezwy PPR i PPS. „Już w formie jej opubliko-wania — pisze gazeta — pod-kreślono najważniejszy punkt programów — jedność działa-nia”.

W odezwie czytamy: „Świe-to 1 Maja jest świętem nie tylko klasy robotniczej, lecz świętem całego ludu pracują-cego Polski” — i dalej: „czew-nień sztandarów robotniczych zleje się w jedno z zielenia sztandarów chłopskich i z bia-ło-czerwonymi sztandarami na-rodowymi”.

Takie relacje o naszych pierwszych majach w odrodzo-nym Polsce odnajdujemy dziś na stronach książek i w rocznikach gazet. Są już Histo-ria, ale są także naszą współ-czesnością.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SERCE ROŚCIE...

Nie było mnie w Łodzi parę ty-godni. Po powrocie wsiałam na Dworcu Kaliskim w taksówkę i nagle przełączyła mi przez głowę myśl: co to jest, kłódną mi mnie wiezie? Szeroka, luźna trasa, wy-twórny zakręt na trzy czwarte zgodnie z zasadą utrzymania ru-chu bezkolizyjnego — no tak, to przecież nowe rondo. Obok grupa kilkunastopiętrowych bloków mieszkalnych, rząd handlowych pawilonów, wielkie, jasno oświe-cone okna. Zupełnie nowe wej-scie w miasto, a przecież tylko co wjeżdżało się tutaj w wążulka Karolewska lub niewiele szersza Kopernika, pomiędzy zwarłe szeregi starych kamieniczek i fabry-cznych murów.

Przy Narutowicza otwiera się nagle przed nami perspektywa na wesołą, jasną „Kaskadę”, a dobrze od lat znajome fasady do-mów z restauracją „Myśliwską” i „Delfinem” i zakładem fotogra-ficznym wydają się przez tych pa-rę tygodni postarzałe o pół wie-ku: jakie smutne, szare i brzyd-kie!

W sąsiedztwie Rozłóg Pol-skiego Radia, gdzie od niedawna kiwał się na pustym placu ogromny dźwig, stoi oto cała grupa wysokosłupów — już gotowej! Nie do wiary, jak to się szybko dzieje, chociaż to szybkoś decen-nia się właśnie dopiero wtedy, gdy się na jakiś czas wyjeżdża. To tak, jak z małą wskazówką ze-gara: stoi w miejscu, gdy na nią patrzysz. A godziny są przecież takie krótkie!

Kiedy w Warszawie kończono Trasę Łazienkowską, tłumy mie-szkających stolicy ciągnęły całymi rodzinami w niedzielę, żeby na to popatrzeć. Przy budowie hotelu „Forum” zabudowano specjalne podesty, na których wleżały stały gromady kibiców, zafascynowa-nych tym, że oto w ich oczach rośnie to wszystko. Sam podczas służbowego pobytu w stolicy po-leciałem na Plac Zamkowy sprawdzić, jak wysoko podęga-gnieto mury Zamku Królewskie-go. Stały tam jak dzień długi rze-dy ludzi z zadartymi głowami. Wsiądzę się, ale nie chodząc

oglądać postępów prac przy bu-dowie podziemnego przejścia przy Dworcu Fabrycznym ani na rondo Titowa, ani na gruntownie prze-budowaną ulicę Kopcińskiego z jej wadkami i rondami. Nikt chyba nie chodził, nie ma u nas tej mody, nie ma tej fascynacji własnym miastem i jego wielkim twórczym zrywem, jakie się czuje w Warszawie. Czyta się przecież o naszych łódzkich inwestycjach, wie się co i gdzie powstaje, co znika, co się zmienia. Ale tak na-prawdę każdy z nas odkrywa te zmiany dopiero gdy je bezpośred-nio pierwszy raz zobaczy — już gotowe. Wtedy — i to jest wa-żkie, cenne przeżycie — chciałby natychmiast komuś to wszystko pokazać, pochwalić się, wymienić parę uwag — no tak, byłby po-miedzy nimi także uwagi kryty-czne, jakżeby nie: patrz pan jaki ten dach płaski, a te balkony wąskie, okna za duże i za małe, ulica taka a nie taka. Nie szko-dzi, pogadajmy. Bez tego byłibyś-my nadto zadufani w sobie, za-miast być zwyczajnie dumnymi ze swego miasta.

Inny u nas niż w Warszawie styl społecznego zainteresowania sprawami miasta. Mniej efektyw-ny i afektywny, niewątpliwie też

mniej znajdujący wyrazu w pra-sie, w radio, we wszelkich mo-żliwych środkach informacji i propagandy. Nasze czyny społecz-ne wykonujemy, kopiąc pożycz-ki, acz nieefektywnie ziemię w Ogródku Botanicznym, do którego trafi kiedys co setny Łódzianin, a moglibyśmy ją równie pożytecz-nie, a ze znacznie większym psy-chicznym zaangażowaniem, kopać na najważniejszych placach budo-woy w środku miasta, koło któ-rych wszyscy będziemy chodzić co dzień przez całe życie. Ale to nie. Miesiąc wcześniej, miesiąc później — każdy z nas trafia przecież na Teofilów, na Dąbro-wę, na Zarzew, Żubardz i Karo-lew. Trafia i nadziwili i napszy-ni się nie może. „Serce rośnie, patrząc na te czasy...”

To pisał Kochanowski o zwy-czajnej, a zawsze pięknej wio-snie, o wiosnie biologicznej, o wiosennej przyrodzie. My też prze-żywamy wiosnę: wiosnę naszego rozkwitającego miasta.

ĆWIEK

SPORT

28 SPOTKANIE NA SZOSIE

8 maja wystartuje z Berlina XXVIII Węsić Pokoju „Try-buny Ludu”, „Dudeho Prava” i „Neues Deutschland”. W tym roku — po raz pierwszy — na ulicach Berlina rozegrana będzie „Sztafeta Narodów”. Wyniki osiągnięte w sztafecie, będącej prologiem do właściwego wy-siugu, nie liczą się w ogólnej kla-syfikacji. Alis! najlepsi zawod-nicy wystartują 9 maja z Berli-na do Magdeburga już w nie-bieskich koszulkach, a „lider” wysiugu w żółtej.

„Sztafeta Narodów” rozegra-ją kolarze na krótkiej trasie, biegnącej ulicami Berlina. Ka-żda drużyna przejeżdża łącznie 42 km, a każdy kolarz tylko 7 km. Będzie to dla berlińczy-ków niewątpliwie barwne wido-wisko, a i samych kolarzy, i kibiców kolarstwa w Polsce, NRD i CSRS wprowadzi w sportowe emocje.

W tym roku trasa XXVIII Węsiugu Pokoju przebiega z Berli-na przez Pragę do Warszawy i po wielu latach przerwy przedostatni etap rozegra się w Łodzi. Możemy się cieszyć z tego zrzędzenia losu, gdyż końcowe etapy należą zwykle do najbar-dziej pasjonujących. Na mecie tych właśnie etapów decydują się losy całego wysiugu.

Dawniej Węsić Pokoju nale-żał do najbardziej emocjonują-cych wydarzeń sportowych. Nie było jeszcze telewizji i wszyscy słuchali transmisji radiowych, a polska piłka nożna nie świeciła światowych triumfów. Nie je-stem więc pewna, czy sportowe

zmagania na kolejnych etapach tegorocznego Węsiugu Pokoju zdołają tak wyludnić ulice pol-skich miast, jak to dzieje się w godzinach, kiedy piłkarska jedenastka walczy w mistrzost-wach Europy. Ale zawsze jed-nak Węsić Pokoju nas intere-suje, gdyż jest to impreza z tra-dycją i od czasu do czasu zda-ruje się, że któryś z Polaków do-konuje kolarzskich cudów, jak to w ostatnim wysiugu robił Stanisław Szozda.

Przez tych 28 lat Węsiugu Pokoju startowało już 36 państw i właśnie tym 36 państwem jest tegoroczny debiutant — Hisz-pania. W drużynie hisz-pańskiej startuje Enrique Martinez Herredia — zwy-cięzca ubiegłorocznego Tour de l’Avenir, z którym przegrał wów-czas Ryszard Szurkowski. Bę-dzie okazją do rewanżu.

Tylko 3 państwa: Bulgaria, Rumunia i Polska wystąpiły do-tychczas 27 razy, to znaczy we wszystkich wysiugach. 26 razy w Węsiugu Pokoju brały udział: CSRS, Francja i Węgry, 25 razy — Dania, Finlandia i NRD, ko-larz ZSRR startowali w Węsi-gu Pokoju 21 razy. W tym roku — po 9 zwycięstwach drużyno-nych odniesionych w historii Węsiugu Pokoju — Związek Ra-dziecki wystawia niezwykle sil-ny skład.

W 27 minionych wysiugach zwyciężyła drużynowo Polska 6 razy. Pierwszy raz zwyciężyliś-my w 1948 roku, następnym — dopiero w 1967. Dalsze zwycięstwa drużynowo nasi kolarze wywal-

czyli w 1968, 1970, 1973 i 1974 roku. Mielmy nadzieję, że w tym roku nie będzie przerwy.

Warto czasem sięgnąć do przeszłości, aby sobie uświadomić pewne fakty, które zaciera-ją się w naszej pamięci. Po os-tatnich sukcesach drużynowych i indywidualnych skłonni jesteś-my nie pamiętać, że tylko trzech naszych kolarzy zakończył Węsić Pokoju w żółtej koszulce lidera. Byli to: w 1956 roku Stanisław Królak, w 1970 — Ryszard Szurkowski, w 1971 — Ryszard Szurkowski, w 1973 — Ryszard Szurkowski i w 1974 — Stanisław Szozda. A więc trzech zawodników, ale aż pięć razy, bo Ryszard Szurkowski ustanowił rekord Węsiugu Po-koju, trzykrotnie zajmując po-zycję lidera.

Tu warto może przypomnieć, że w maju 1971 roku Ryszard Szurkowski został laureatem nagrody UNESCO — „fair play” za postawę w Węsiugu Dooko-la Polski rozegranym w 1970 roku. Wprawdzie w ubiegłym roku różnie to z tą „fair play” było, ale nie wypominajmy, bo jak donoszą z trasy Tour de Loir et Cher na sukces Jana Brzezniego solidnie zapracowała cała drużyna, w której jadą też Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda.

W historii Węsiugu Pokoju był jeszcze taki kolarz, którego francuscy dziennikarze nazwali „eleganckim liderem”. Francus-ka gazeta sportowa „L’Equipe”

tak pisała o Mieczysławie Wil-czewskim:

„Fantastyczny kolarz! Szybki jak myśl, ostry w walce jak brzytew. Odrywa się od prze-ciwników, kiedy chce. A przy tym zawsze nieskazitelnie ele-gancki. Bardziej denerwują go zabrudzone skarpetki niż ucieczka przeciwników.”

Ten fantastyczny kolarz na e-tapie do Lipska przeżył trage-dię, której przyczyną była błęd-na taktyka kierownictwa pol-skiej ekipy. Był liderem po sze-ściu etapach, jechał w żółtej koszulce. Po kraksie, w której uczestniczył M. Wilczewski i Eligiusz Grabowski, ten ostatni odpadł. Kierownictwo ekipy nie pozostawiło nikogo do pomocy Wilczewskiemu, decydując się ratować przodownictwo zespo-łowe. Mieczysław Wilczewski do-szedł czołówkę, zmienił rower i znów musiał gonić całą grupę. Cały czas jechał samotnie. Na 40 km przed metą pękła rama jego roweru. Znowu samotnie go-nił resztę zawodników, z trud-em dojechał do mety. Stracił żółtą koszulkę, ale i drużyna straciła niebieskie.

Dziś na szczęście z taktyką nie mamy już takich kłopotów i na szczęście rozumiemy też, że w takim wysiugu jak Węsić Po-koju jednakowo liczą się suks-cesy indywidualne i zespołowe i że jednym nie ma bez dru-gich. Jak pojadą nasi? Zobaczy-my to już niedługo.

BOGDA MADEJ

MAGAZYN

ODGŁOSY

POWIĘKSZENIA

NOWY POMYSŁ „POLSKICH NAGRAŃ”

„Polskie Nagrania” zaskakuja wciąż nowymi pomysłami. Np. nie chciały przyjąć (za darmo) licencyjnych taśm duetu Kisielowski-Tomaszewski, które to nagrania oferowała firma Electrola. „Polskie Nagrania” zrezygnowały z taśm, bowiem... nie wiedzieli jak zaksięgować ów dar. Tym sposobem melomani w Polsce mogą tylko kupić stary longplay Marka i Wacka — sprzed osmiu lat.

Najnowszym natomiast pomysłem genialnej firmy jest gangster-ski „long”: pt. „Sinatra”. Na okładce wielkimi literami wypisano nazwisko piosenkarza, dano jego fotografię, a obok dopisano skromnie „Al Saxon sings”. Ponieważ Al Saxon jest trzeciordynym piosenkarzem, którego nikt w Polsce nie zna — wszyscy się nabierają, kupując imitację. Bowiem wbrew okładce na płycie mamy piosenki Franka Sinatry śpiewane przez Al Saxona.

Na kant „Polskich Nagrań” dał się nabrać także „Meloman” (?) z tygodnika „Perspektywy”, reklamując longplay jako płytę Sinatry.

Ktoś nam kiedyś mówił, że za fałszowanie towarów grozi kara? Kto ukarze „Polskie Nagrania”?

POGODYNKA

Z telewizji zniknął Wicherek — pojawił się natomiast w „Literaturze” pod pseudonimem Jerzy Andrzejewski. Czytamy „ostatnie chłody sprawiły, że pączki na drzewach i krzewach przestały się rozwijać, szaro jest i beznamiętne, parę dni temu padał deszcz ze śniegiem, a i dzisiaj też, choć krótko”. A co na to dyktury synoptyk, Jerzy Putrament?

NIC NA DZIAŁKACH SIĘ NIE DZIEJE?

Ogródki działkowe są po to, aby ludzie mogli trochę odpocząć od zgiełku miasta. Tak przynajmniej nam się dotąd zdawało.

Niestetyż widać, że o to na działkach na Dąbrowie buduje się... kino i klub-swiecilo. Proponujemy, aby jeszcze zbudować tam ze dwie restauracje, pijalnię piwa, dom handlowy i kawiarnię. Bufet bowiem już zaplanowano.

Będzie rozrywka, hok i tzw. centrum usługowe. Tylko spokój i ciszę diabl wzmą.

NOWALIE

„Express Ilustrowany” zaskoczył nas tytułem: „Wino i deszcze omiatają podaż w o w a l i i”. Brzmiał to prawie jak konwalle, ale mamy wątpliwość czy poczwierzę stare i zdomowione w języku polskim o w a l i i k i trzeba zmieniać na nowalie.

Od „Expressu” oczekujemy dalszych rewelacji. Niech przemianuje szczypiorek na szczypior, pietruszkę na pietruchę, rzodkiewki na rzodkiew, a brukselkę na brukselę.

Będzie śmiesznie, ale konsekwentnie.

MINIATURYZACJA

W sklepach pojawiło się wino marki „Wino” w butelkach o pojemności 0,25 czyli w ćwiartkach. Cena przystępna (18 zł), toteż inicjatywa spotkała się z ogromnym zainteresowaniem młodzieży szkolnej, której kieszonkowe nie wzrosło — niestety — wraz ze wzrostem uposażenia społeczeństwa. Miniaturyzacja czyni postępy. Niestety.

W tramwaju był ścisk jak diabli. Mimo to na przystankach sporo ludzi wsiadało i próbowało upychać się wewnątrz. Wszytko można było jakoś zmieścić dopóki obok nie znalazł się pewien grubyś w granatowej jesłonce. Grubas wiercił się, ciągle kogoś nadeptywał i kiął łokciami. Stałem przy nim, więc spora część kuksańców i kopnięć brutalnie dostawała się mojej osobie.

— Zaraz draniowi coś powiem — myślałem mściwie. — Niech mnie tylko jeszcze raz tknie. Rąbnę mu od razu jak batem: — Gdzie się byku pchasz, nie widzisz że ludzie stoją. A jak mi coś po chamsku odpowie, to ja mu na to: — Jak dziecięle nie umiesz kulturalnie jeździć tramwajem, to kup sobie tak-sówkę.

— Panie! Od pięciu minut wam mnie pan łokciem w żołądek. Ale to drobiazg. Lecz gdy widzę, jak zaczyna pan deptać tę uczennicę, biedulkę bezradną i bezbronną, i gdy jednocześnie, już trzeci raz strąca pan kape-lusz temu oto staruszkowi, tego już za wiele. Panie! Albo się pan natychmiast uspokoi, albo wy-prosimy pana z tramwaju.

No, gdyby się po czymś takim odezwał, to już by na niego ludzie wsiadli. Załatwiliby go na amen. Hm... czy na pewno? Na ludzi nie ma znowu co tak za bardzo liczyć. Jeszcze zrugają mnie za mieszanie się do cudzych spraw.

Wobec tego powiem mu chyba krótko i rzeczowo: — Proszę Pana! Ja rozumiem, że jest tłok i trudno tu o komfort, ale niech pan będzie uprzejmy us-sówkę.

ZDZISŁAW MARZEC

NIEŁATWO dać coś Z SIEBIE

A właśnie — kulturalnie. To byłoby jednak trochę za ostro. Nerwy nerwami, ale grubianiem nie można być. W tramwaju jest masa ludzi, kobiety... No, ale za to mogę mu bardziej subtelnie, np.:

— Drogi panie! Ja rozumiem, że gdy pan stoi na moich nogach, to jest pan trochę wyższy, ale przy takiej buźce to i tak panu mało pomoże. Casanovą pan nie będzie na pewno.

Zreflektowałem się natychmiast. Czy to da się powiedzieć jednym tchem? Poza tym, ta beczka stoi tyłem, gdyby mu nie widać. Powiedzą jeszcze, że się się na dowcip. A zresztą, czy taki zorientuje się o co mi chodzi? Wątpliwe. Zaraz! A może by w imieniu paru osób. To by wyglądało mniej więcej tak:

tawił się trochę inaczej, bo w tej chwili depte mi pan po nogach. Bardzo pana proszę.

Tak, to byłoby najlepsze. Tym go rąbnę. Precyzja. No, niech mnie tylko trąć. — Czekalem z okrutną radością.

Przez cały ten czas grubas nie ustawał w rozdawaniu rąbów. Nagle odwrócił się spojrzał na mnie i wrzasnął: — No jak! No co się pchasz, ty... — Ostatnie słowa zabrzmiały niezbyt wyraźnie, ale i tak zrozumiałem. Niestety, nie były przyzwolite.

A jeśli jest pijany — błyskawicznie przeleciało mi przez głowę — i to może nawet bardzo.

Nie odezwałem się ani słowa. Z pijakami nie ma co gadać.

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO



Henryk Walenda red. naczelny „Dziennika Łódzkiego”

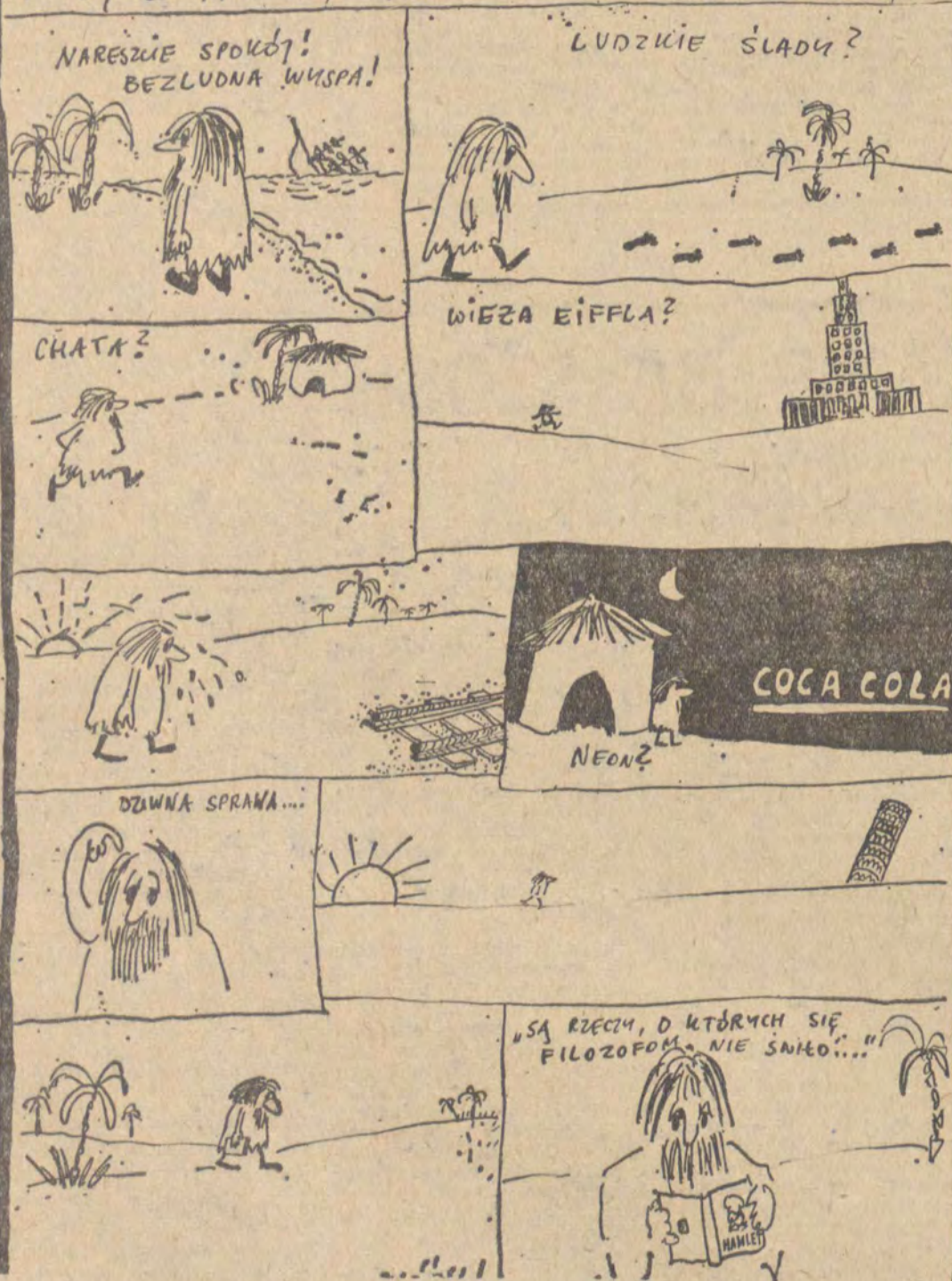


Wojciech Drygas red. naczelny „Kuruzeli” prezes oddziału SDP

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE RYSOWAŁ JACEK BROMSKI

ROBINSON CRUSOE

I TO, CO MU SIĘ PRZYDARZYŁO NAPRAWDĘ



TADEUSZ GIGIER

FRASZKI

GDY KAPRAŁ...

Gdy kaprał woła: pobudka! — nie czas dumać, że noc krótka.

GLOBTROTER

Dzień w Budapeszcie, dzień w Bukareszcie, tydzień w areszcie.

GENIUSZ XX WIEKU

Od aureoli gotówkę woł.

GRA SŁÓWEK

Sens czy bezsens: słowo gra mu, więc już kontent z epigramu.

CENNE ZARZĄDZENIA

Mając na uwadze uzgodnienie i ujednolicenie istniejącego gąszczu, wydano zarządzenie określające postępowanie przy realizacji filmów historycznych. W celach dokumentacji intencjonalnej wolno używać wyłącznie Pocztu Królów Polskich J. Matejki. Zmieniać dowolnie rysy twarzy wolno jedynie władcem nielustycznym. Nowością jest też fakt, iż na jednym monarze osnuć można kanwę powyżej trzech filmów dziejowych.

DUŻE BRAWO!

Księgowy kinowy Jan Bolski pseudo „Janek”, znany filozof, myśliciel i bilansista, w czasie przerwy śniadaniowej wymyślił twierdzenie nazwane dla pamięci „Prawem J. Bolskiego”. Brzmiało, iż płyta gramofonowa z dołu i z góry jest znacznie lepiej widoczna niż oglądana z boku. Równocześnie cieszy, że płyty

nasze pakowane są coraz estetyczniej.

PIES POGRZEBANY

Duże zniechęcenie ogarnęło Hollywood. Słynna gwiazda filmowa Lessie Archetyp, której

jest absolutnie niemożliwa wleć prosiły młodzież, by przestała z uwagą przypatrywać się Szarikowi.

PÓŁWYSPY WSTYDU

Anglosaski geograf filmowy John Seey publicznie potwierdził, iż półwyspy gdy im się długo i uważnie na mapie przyglądać, mogą sprawiać nieprzyjemne wrażenie. W związku z powyższym John Seey zaapelował do kolegów filmowców, by zaprzestali nakręcania filmów o półwyspach, podejmując równocześnie kręcenie wysp, którym można przyglądać się długo i nie.

KŁOPOTY KRASNALKĄ

Dla naszych milusińskich powstanie nowy i ciekawy film o krasnalu, który był tak mały, że nie mógł nawet dosięgnąć do okienka w kasie. Ale nie płaczcie malcy, wszystko skończy się dobrze.

MAŁE KINO

Najlepsze są te małe kina K. I. Galszyński